AS



Nr. 22.
28-GO LIPCA 1935 R
CENA 40 GROSZY

NA KARUZELI

Niewiele potrzeba młody
ładnym dziewczętom ab

NASZ WIELKI KONKURS

NA

NAJPIĘKNIEJSZY UŚMIECH.



P. Stefanja Buczkówna, Skarżysko-Kamienna.



„Walentynka" Suwałki.



P. Lena K., Sucha.

Znowu wita Was nowa serja uśmiechniętych buzi, z których każda stara się zyskać Wasze serca... i kupon, znajdujący się na str. 26! Oglądając pilnie zdjęcia naszego konkursu Czytelnicy „Asa" będą mogli zaznajomić się z uśmiechem wszystkich naszych ziem i wypośrodkować, gdzie jest najweselej. a przedewszystkiem w których stronach najpiękniej uśmiechają się Polki.



P. mec. A. U. Kraków.



P. Stefanja Bombowa, Gorlice.



P. G. S., Śniatyn.



„Wiśka". Warszawa.



„Maryka", Grodno.

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY
WYDAWCA: SPÓŁKA WYDAWNICZA „KURYER" S. A
REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: JAN STANKIEWICZ.
KIEROWNIK LITERACKI: JULJUSZ LEO.
KIEROWNIK GRAFICZNY: JANUSZ MARJA BRZESKI.
ADRES REDAKCJI i ADMINISTRACJI: KRAKÓW, WIELOPOLE 1 (PAŁAC PRASY). - TEL. 150-60, 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65, 150-66
KONTO P. K. O. KRAKÓW NR. 400.200.

AS

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY
CENA NUMERU GROSZY 40
PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR.

Numer 22 **Niedziela 28 lipca 1935** **Rok I**

ASY NUMERU 22-go:



Fot. J. Szwedo, Kraków.

Sierpień — nazwany symbolicznie od pradawnego sierpa, którym ścinano zboże, stanął znów u wrót wsi. Lecz już od dłuższego czasu zboże dojrzewało na polach, by paść pod ciosami żelaza — kosy lub żniwiarki. Dla wsi jest to najgorętsza chwila, najbardziej absorbująca i najbardziej uroczysta. Rolnik sprawdza wtedy bilans swej pracy i gromadzi zapasy na cięższe dni. Ze żniwami związane jest w Polsce, kraju wybitnie rolniczym, tyle pięknych obrzędów i wspomnień, że stanowią one własną rubrykę nietylko w życiu rolnika, ale też po części mieszkańca miast. Oto uroczysta chwila, kiedy chłop nasz przystępuje do pierwszego cięcia dojrzałego żyta.

Ekwilibrystyka ustrojowa

Obserwowałem kiedyś jak pewien sportowiec, który wrócił właśnie z Anglji, popisywał się rzucaniem bumeranga. Dziwny ten, zakrzywiony pod kątem 45° przedmiot rzucony — jak wiadomo — wraca pod tym samym kątem pod którym wyleciał. Widok zakreślonej przez bumerang drogi wywoływał w moim umyśle dziwny niepokój, starałem się bowiem przypomnieć i konkretnie określić zjawiska życiowe, które tę drogę przypominają. Myśl zasadnicza: można przebyć długą drogę i wrócić na to samo miejsce, — nieraz znajduje swe potwierdzenie w życiu. Gdy przypatrzymy się baczniej dzisiejszym zjawiskom życia, zauważymy łatwo, że najlepiej do owej bumerangowej trasy podobne są drogi ustrojów współczesnych państw europejskich.

Żeby choć tylko mniej więcej znaleźć tę analogję, trzeba sięgnąć do XVIII wieku, do czasów „oświeconego absolutyzmu". Po zdławieniu przez wielkich monarchów feudalizmu, t. j. ustroju w którym każdy stan miał swe drobne, wprawdzie, pole autonomji i był tylko uzależniony hierarchicznie od monarchy, powoli wszystkie sprawy coraz bardziej zaczęły podlegać osobistej decyzji monarchy i całe życie państwowe toczyć się naokoło niego. Takim klasycznym przykładem tej formy rządów, którą można nazwać despotyczną, był król Słońce, Ludwik XIV, który nie przesadzając zgoła mógł powiedzieć o sobie: „L'état c'est moi" — państwo to ja sam! Nadużycie władzy monarszej sprowadziło wkońcu krytykę warstw oświeconych, przedewszystkiem statystów, uczonych, wkońcu encyklopedystów. Wytworzyła się natomiast inna koncepcja tej władzy, twierdząca, że jest zupełnie uzasadnionem aby monarcha oświecony, mądry i do rządów przygotowany rządził despotycznie swym krajem dla dobra poddanych nawet wbrew ich woli. Szczęściem właśnie wtedy t. j. wkońcu XVIII wieku znalazło się kilku mądrych i oświeconych władców, jak Katarzyna II, Józef II i Fryderyk II zwany Wielkim. Jak wiadomo Józef II tak dalece ingerował w życie swych poddanych, że wydał przepisy nawet odnośnie ilości świec mających się palić przy katafalku zmarłego, ale wprowadził też wiele mądrych i pożytecznych ustaw i reform. Gdy jednak światli ci monarchowie ustąpili miejsca mniej mądrym, oświecony absolutyzm zaczął tracić rację bytu i uchodzić coraz bardziej za przeżytek. Początkiem nieporozumień między ludnością a władzą monarszą były, oczywiście poza rewolucją francuską 1789 r., która się skończyła ścięciem króla i królowej, dekrety prasowe wydane w r. 1830 przez króla Karola X, brata ściętego Ludwika XVI. Dekrety te zdławiły cenzurą prasę i stały się powodem wygnania króla. W tymże samym czasie t. j. 1830 r. Belgja zrzuca panowanie Holandji, a Polska chce potargać więzy rosyjskie. Wkrótce znów walki zaczynają niepokoić Europę. Rok 1848-my zaznacza się nieomal wszędzie rozruchami. W Paryżu, Berlinie, na Węgrzech, w Pradze, Wiedniu we Włoszech, wszędzie wybuchają protesty ludności domagającej się konstytucji. I powoli Europa otrzymuje konstytucje.



Katarzyna II była najwybitniejszą reprezentantką oświeconego absolutyzmu w XVIII wieku.

Era konstytucyjna państw europejskich odznacza się dwiema cechami: parlamenty stają się nieraz forum wygrywania partyjnych i czysto osobistych interesów odbierając parlamentowi zdolność pracy produktywnej, a z drugiej strony państwo jako takie zaczyna coraz bardziej wchodzić we wszelkie dziedziny życia człowieka prywatnego wywierając na niego wpływ równie prawie absolutny jak dawny monarcha. Dzieje się to jednak w imię abstrakcji — Państwa.

Po wojnie światowej psuje się nietylko stan ekonomiczny krajów, ale też ich ustrój, panuje bezgłowie we wszystkich dziedzinach, ludzkość ratuje się eksperymentami. Parlamenty radzą bezowocnie, rozprzęgają się coraz bardziej, większość jest zdezorjentowana. W takich właśnie beznadziejnych okolicznościach powstają w różnych krajach Europy ludzie silni, ludzie znający życie i dynamikę państwową, którzy nie bacząc na protesty tych, co się trzymają litery prawa, ujmują w swe ręce ster państwa dla dobra ogółu. Większość przyznaje, że tylko jeden człowiek, silny, energiczny i obdarzony zaufaniem ogółu zdoła sprostać zadaniom chwili.

Ludzi tych zwiemy dyktatorami. Mają oni bezwzględną władzę, wszystko kieruje się podług ich woli i kręci koło ich osoby. Różnica między nimi a dawnymi despotycznie rządzącymi monarchami jest zasadnicza: służą oni państwu a nie interesem dynastycznym, a co jest najważniejsze wychodzą niejako z potrzeb ogółu, są emanacją interesów narodowych.

Ludzie ci stanowią w historji świata



Po rządach despotycznych tureckich sułtanów władzę w tym kraju sprawuje dyktatura w osobie prezydenta republiki Mustafy Kemala, zwącego się obecnie Atatürkiem.



Rządy satrapów sowieckich przypominają „najlepsze" czasy Iwana Groźnego. Następcą wielkiego Lenina jest obecnie Józef Stalin.



Adolf Hitler jest dzisiaj symbolem współczesnych Niemiec.

bardzo ciekawy i dosyć odrębny typ mężów stanu. Charakterystyczną ich cechą jest również to, że są nawskroś nacjonalistami i w pełni symbolizują aspiracje życiowe raczej swego narodu, jak swego państwa. Dyktator współczesny nie koniecznie zajmuje miejsce naczelne i najwyższe w państwie, nieraz stoi hierarchicznie niżej od naczelnika państwa, który w tym wypadku jest tylko jego odblaskiem, a nie odwrotnie.

Oczywiście, że nie można stworzyć żadnej konkretnej teorji co do powstania dyktatur: rozwój ich zawsze uzależniony jest od warunków lokalnych, charakteru narodu i tysięcznych szczegółów. W niektórych państwach dyktaturę zdobywa monarcha względnie naczelnik państwa. Tak było w Jugosławji przez pewien czas rządów króla Aleksandra I, tak jest w Portugalji, gdzie prezydent republiki generał Carmona jednoczy w swym ręku całą władzę, tak jest też mutatis mutandis w Bułgarji, a w pełni w Turcji i w Niemczech. Lecz są też dyktatury, które ze względu na warunki lokalne przybierają postać nad wyraz skomplikowaną. Gdy król Alfons XIII stwierdził, że normalnemi środkami nie da się zaradzić rozkładowi państwa i kreciej robocie skrajnej lewicy, wyniósł nieomal z nicości generała Primo de Rivera, markiza de Estella, który był jednym z prowincjonalnych gubernatorów. De Rivera był narzędziem w ręku króla, niemniej jednak zdobył wkrótce takie stanowisko, że zaczął rzucać cień na osobę monarchy. Gdy rządy dyktatorskie dały się Hiszpanji zbyt silnie odczuć, Alfons XIII usunął dyktatora starając się zatrzeć jego imię w pamięci Hiszpanów. Przejście gwałtowne od dyktatury do rządów konstytucyjnych było jednym z powodów upadku monarchji. Jeszcze ciekawiej przedstawia się sprawa dyktatury we Włoszech. Kiedy Mussolini na czele swych czarnych koszul zjawił się przed murami Rzymu celem zrobienia porządku w ojczyźnie i dania jej ustroju umożliwiającego rozwój drzemiących sił moralnych i materjalnych, król Wiktor Emanuel III znalazł się jak mało który monarcha „w kropce" i... przywitał przyszłego dyktatora legalizując tym czynem jego samozwańcze bądź co bądź wystąpienie. Od tego czasu genjalny Duce korzysta z powagi królewskiej i opierając się na tradycjach państwowych jest nieograniczonym pa-



Ciekawe zdjęcie włoskiego dyktatora Mussoliniego w chwili, kiedy pomaga w podawaniu snopków do lokomobili.



Zmarły dyktator Hiszpanji, gen. Primo de Rivera, podczas narady z królem Alfonsem XIII.

Romantyczne przygody dyktatora, widziane oczyma karykaturzysty francuskiego Curry.



nem Włoch stojąc niejako obok monarchy. Jak widzimy zjawiskiem towarzyszącem nieraz dyktaturze jest mimo wszechwładzy korzystanie z istniejących już kapitałów moralnych monarchy czy państwa, chociażby akcja jej szła po linji przeciwnej dawnym instytucjom.

Nad wyraz dziwnie przedstawia się obecny ustrój Rosji, który żywcem przypomina ów przysłowiowy bumerang wracający do miejsca, z którego wyszedł. Po upadku despotycznego reżimu carskiego, Rosję ogarnął szał radości, który poprowadził ją prostą drogą do oddania całej władzy ludowi pracującemu. Oczywiście, że musiał on mieć swych reprezentantów w postaci rządu i sowietów, zgromadzeń, odpowiadających mniej więcej naszym władzom jednoosobowym. Państwo komunistyczne stało się wszechwładnym panem życia i śmierci ludu, dla którego de nomine... miało pracować. Zaszło tymczasem zjawisko nieoczekiwane przez samych twórców nowego państwa. Najwyższy reprezentant władzy sowieckiej został dyktatorem, gorzej satrapą, jakim nigdy żaden car nie był. Opierając rację swego bytu na posłannictwie dla dobra ludu, stał się największym jego ciemięscą. Od ukazów cara Iwana Groźnego, czy szalonego Pawła I do dekretów Lenina, czy Stalina był tylko jeden krok i drogi ustroju rosyjskiego, wychodzące z tak odmiennych założeń zeszły się w jednym krwawym punkcie

Obraz ten nie byłby kompletnym, gdybyśmy nie dodali, że dzisiejsze dyktatury idą nieraz po drodze, nakreślonej już wieki temu. Czemże innym jak nie dyktatorem był Napoleon I, gdy objął stanowisko pierwszego konsula, lub Cromwell w Anglji? Gdy jednak pierwszy wędrówkę swą polityczną zakończył na stopniach tronu, angielski mąż stanu postąpił podobnie jak Juljusz Cezar, nie chcąc przyjąć tytułu monarszego. Ale i za naszych czasów dyktatura prowadzi nieraz wprost do tronu. Tak stało się w małej Albanji, a od dawno krążą pogłoski o podobnem poczynaniu Kemala Mustafy.

Jak o każdem głęboko uzasadnionym zjawisku, tak również i o dyktaturze nie można wyrażać się ogólnikowo. Jest ona bezwątpienia koniecznością danej chwili, jest zjawiskiem integralnym naszych czasów i w wielu wypadkach jedynem wyjściem przed chaosem społecznym, ekonomicznym i ideowym, zwłaszcza jeżeli chodzi o państwa nowopowstałe, które przypominają płynną masę tworzącego się świata.

J. Godziemba.

CIEKAWE ★ DROBIAZGI.

CZŁOWIEK, KTÓRY ZDEMASKOWAŁ MIKROBY.



Antoni van Leeuwenhoek.

Antoni Leeuwenhoek — wielki odkrywca bakteryj, pierwszy człowiek, który na własne oczy ujrzał drobnoustroje, żyjące poza wyobraźnią i ówczesnem przeczuciem uczonych, oraz twórca doskonałych instrumentów optycznych, które sam fabrykował, przyszedł na świat w r. 1632 w Holandji.

Czasy, w których Leeuwenhoek ujrzał światło dzienne, nie sprzyjały bynajmniej odkryciom i pracom zimnych i ścisłych umysłów. W czasach tych skazano na śmierć Serveta za to, że ośmielił się dokonać sekcji na zmarłym człowieku w celach doświadczalnych. Galileusz za niebywałe na owe czasy twierdzenie, iż ziemia obraca się naokoło słońca, został skazany na dożywotnie więzienie.

Antoni Leeuwenhoek predestynowany był do swych odkryć wyłącznie dzięki zimnej rozwadze, uporowi i dokładności. Nie posiadał on żadnych studjów, któreby go przygotowały do jego późniejszych prac. Jedyną umiejętnością, która przyniosła mu pożytek, było szlifowanie soczewek. Leeuwenhoek, przekroczywszy 20 rok swego życia, osiadł w małem miasteczku holenderskiem Delft i tam poza zajęciami, dającemi mu chleb, pracował nad szlifowaniem soczewek.

W czasach, kiedy żył Leeuwenhoek, nie było jeszcze mikroskopów, a najlepsze szkła powiększające — powiększały zaledwie czterokrotnie. Po wielu latach bardzo usilnej pracy. Leeuwenhoek dopiął celu, skonstruował mikroskop i dojrzał zapomocą „szklanego oka“ świat, którego nikt dotąd nie przeczuwał — świat mikrobów.

Angielskie Towarzystwo Królewskie, do którego zwrócił się Leeuwenhoek z doniesieniem o tych spostrzeżeniach, odnosiło się z początku bardzo sceptycznie do tego odkrycia. Uważano, że roztocz serowy jest najmniejszą istotą, żyjącą na świecie. Niedługo jednak potem Leeuwenhoek zostaje mianowany członkiem Królewskiego Towarzystwa. Dziś wiemy, że obok R. Royle i L. Newtona był Leeuwenhoek jedną z najznakomitszych postaci tego Towarzystwa.

Niezwykła dokładność, z jaką dokonywał Leeuwenhoek swych odkryć, pozwoliła mu na następujący wniosek: najmniejsze ze stworzeń jest tysiąc razy mniejsze, niż oko dorosłej wszy. To obliczenie jest zadziwiające, tembardziej, gdy się wie, że oko wszy jest dzisiaj uznane za dokładną miarę i że u najrozmaitszych okazów tego gatunku, jest ono zawsze jednakiej wielkości.

Leeuwenhoek, który z uporem manjaka badał pod swym mikroskopem wszystko naokoło — pierwszy spostrzegł mikroby pewnego gatunku, pojawiające się u niego w czasie rozstroju żołądka. Nie przyszło mu wprawdzie do głowy, że one były przyczyną tego zjawiska, jednak w listach do Towarzystwa Angielskiego — może mimowoli — kojarzył te zjawiska.

Leeuwenhoek pierwszy zobaczył krążenie krwi w arterjach i pierwszy spostrzegł walkę na śmierć i życie drobnoustrojów, które pożerały się nawzajem w kropli wody.

W roku 1723, w wieku 91 lat, umarł Leeuwenhoek, kładąc trwałe fundamenty pod gmach wiedzy o mikrobach. Umarł pierwszy konstruktor pierwszych na świecie doskonałych mikroskopów — ułatwiając tem w przyszłości pracę takim uczonym, jak L. Spallanzani, Pasteur, R. Koch itd. itd.

Dopiero w wiele lat po śmierci Holendra przekonano się, jak potężny i groźny jest świat niewidzialnych mikrobów, odkrytych przez Leeuwenhoeka. *(m. b.)*

★

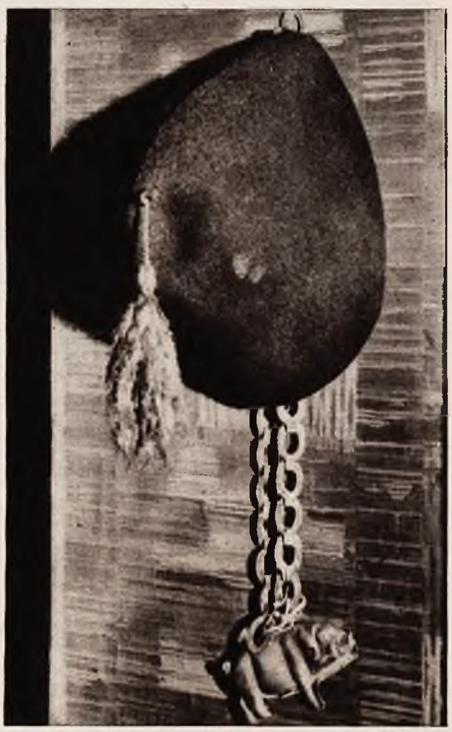
PARYSKI MAQUILLAGE W .. DŻUNGLI.



Jak wiele ludów, stojących na prymitywnym poziomie kultury tak też i Indjanie amerykańscy stosują od wieków malowanie twarzy, jako zwyczaj rytualny, mający w ich wierze głębsze uzasadnienie. Jak wiadomo, zwłaszcza ludy prymitywne, lubują się w symbolice to też przenoszą ją również na swe ciało, kreśląc na twarzy liczne pradawne znaki, niezrozumiałe dla Europejczyków. Temu rytualnemu malowaniu twarzy oddają się kobiety indjańskie ze specjalnem zadowoleniem, gdyż wrodzone upodobanie do ozdabiania się, idzie tu w parze ze staremi tradycjami.

★

NAJORYGINALNIEJSZY ORDER ŚWIATA.



Chociaż w zakresie orderów wszelkie możliwe pomysły dochodziły do głosu i zużytkowano w tym celu rozmaite zwierzęta, symbole i przedmioty, to jednak najbardziej oryginalnym orderem trzeba nazwać order Złotej Świni. Dziwne to odznaczenie nie jest oczywiście orderem państwowym, lecz zostało założone przez studentów duńskich, którzy nadwyraz go cenią. Dotychczas „order“ ten został nadany jedynie królowi duńskiemu, oraz znanemu poecie pastorowi Kai Munk. Jak wiadomo, świnia jest międzynarodowym symbolem szczęścia, podobnie jak koniczyna czworolistna i słoń. Odznaczeni więc tym orderem cieszyć się będą powodzeniem w życiu.

★

STRAŻ OGNIOWA W ŚREDNIOWIECZU.



„Wszystko już było“ — powiedział Ben Akiba i miał zupełną rację.

Pierwowzór dzisiejszej straży ogniowej, posługującej się sikawkami do gaszenia ognia, znajdujemy na starym sztychu, przedstawiającym pożar w Norymberdze w roku 1658. Jak widzimy na rycinie, średniowieczna straż ogniowa posługiwała się dobrze funkcjonującemi pompami, wytryskującemi wodę bardzo wysoko.

„BIEDERMEJEROWSKA" PODRÓŻ

NAOKOŁO ŚWIATA.



„Clermont" parowiec Fultona, który w r. 1807 odbył pierwszą podróż po Hudsonie.

Wspaniałe, nowoczesne parowce jak „Europa", „Rex", „Normandie", czy wreszcie „Queen Mary", nie poruszyły opinji świata i nie wzbudziły tak wielkiej sensacji, jak spuszczenie na wodę pierwszych statków parowych w Ameryce.

Przeszło 100 lat dzieli nas od owego pamiętnego wydarzenia, kiedy to w r. 1806 Livingston wraz z Fultonem zbudowali statek, rozwijający szybkość niewiele ponad 4 mile na godzinę. Z wydarzeniem tem łączył się entuzjazm całego cywilizowanego świata, trochę niechęci, spowodowanej brakiem zaufania do tego nowego tworu lub wreszcie — szczere oburzenie. W każdym razie były to uczucia gorące i bardzo silnie manifestujące się w społeczeństwach.

XX wiek jest bardzo zblazowany. Przyjmuje on codziennie tyle nowych podarunków, że przestają go one animować. XX wiek otępiał w zawierusze nowych wydarzeń i powtarza uporczywie: „Niema to, jak stare dobre czasy".

Dziś owe minione lata wydają nam się rzeczywiście bardzo romantyczne, czasem wprost zabawne.

Wynalazek maszyny parowej był bezwątpienia początkiem szeregu niezwykle szybko po sobie następujących wydarzeń w zakresie kultury materjalnej świata. Fachowe pisma z lat 1826 twierdzą, że zastosowanie maszyny parowej jako siły popędowej do statku — było „bezwątpienia najbardziej zdumiewające". Trzeba rozumieć epokę wielkich możliwości, nowych horyzontów, wzmożonej kolonizacji i konjunktury, aby odczuć cały entuzjazm, bijący z tych słów dla genjusza ludzkiego i maszyny.

Już w r. 1735 J. Hulls ogłosił w Londynie pracę, w której wyraża pogląd, że maszyna parowa rozwiąże kwestję napędu dla statku, które nie będą potrzebowały się liczyć z nurtem rzek i kierunkiem wiatru.

Statek zbudowany przez Clarke'a i kursujący po rzece Clyde w Szkocji, był wstępem do mającej niedługo nastąpić rozbudowy floty całego świata.

Statek Livingstona i Fultona w r. 1807 odbył próbną podróż po Hudsonie w Ameryce na przestrzeni 160 mil. Pojemność jego wynosiła 3.200 ctn. Podróż próbna pierwszego statku parowego była dla Amerykanów niebywałem wydarzeniem. Oto jak opisują ją współczesne kroniki:

„Było to nowe dla nadbrzeżnych mieszkańców rzeki Hudson i dla samych szyprów zjawisko, które szczególniej między prostym ludem wszędy rozpościerało postrach i trwogę. Gdy w pierwszych amerykańskich statkach parowych (jak i teraz po większej części) palono suchem drzewem sosnowem, wznosił się więc z komina słup na kilka stóp wysoki wokoło pryskający iskrami. Ten płomień i plaskanie kół wiosłowych, tudzież łoskot z wewnętrznego wynikający mechanizmu nadawały statkowi, osobliwie w nocy, wejrzenie potworu wodnego, który pasując się z pędem wiatru i fali rzecznych, sam oświecał sobie drogę ogniem z własnych wnętrzności wyziewanym...".

Obraz rzeczywiście Dantejski! A jednak ta pierwsza właśnie podróż spowodowała, że rząd amerykański udzielił wynalazcom — patentu na wybudowane przez nich w okresie 30 lat okręty.

Pod nadzorem Fultona — zbudowano w Nowym Jorku 15 statków parowych. Największy z nich przeznaczono do obrony Nowego Jorku. Ta fregata posiadała baterję armat i piec do rozpalania kul. W parę miesięcy po śmierci Fultona w r. 1815 wypróbowano okręt, który miał szybkość 5 mil na godzinę. Pod prąd szybkość wynosiła 2 i pół mili. Dokładny opis okrętu podany przez współczesne pisma brzmi:

„Fregata parowa Fultona złożona jest z dwóch batów, na 66 stóp długich i na 15 od siebie odległych. W jednym bacie mieści się kocioł, w drugim machina parowa. W przedziale między dwoma batami obraca się koło wiosłowe. Główny pokład, dźwigający rynsztunek fregaty zabezpieczony jest przedpierśnikiem z budulcu na 4 stopy i 10 cali, mającym grubości. Do wyrzucania kul rozpalonych znajduje się 32 moździeży i tyleż otworów w ścianie pokładowej. Wyższy pokład otaczają mocne palisady. Fregata mieści w sobie dwa maszty z żaglami i 4 rudle sterowe po jednemu na każdym końcu dwóch batów, tak, że naprzód i wtył bez zawracania żaglować może. Siła machiny parowej porusza zarazem pompę, służącą do podnoszenia znacznej masy wody i wytryskiwania jej na pokład nieprzyjacielskiego okrętu, w celu zalania jego baterji i składu prochowego...".

W r. 1816 spuszczony zostaje na wodę statek pod nazwą „Kanclerz Livingston". Długość jego wynosiła 165 stóp. Mieścił on 200 pasażerów oraz 40 osób załogi. Maszyna tego statku miała 80 koni, a szybkość maksymalna z prądem rzeki wynosiła 15 mil. Skolei powstają dwa jednakowe statki, kursujące między Nowym Jorkiem a Jersey. Były one zakończone szpiczasto i żeglowały w obie strony. W niedługo potem spuszczono na wodę „kolosa" o pojemności 4.000 cetnarów. Miał on okrągłe dno, jak statki morskie i kursował między Nowym Jorkiem a Newhaven.

We wszystkich stoczniach rozpoczął się gorączkowy ruch. Budowano coraz to nowe statki. Na Missisipi, z Louisville do Nowego Orleanu przestrzeń 3.400 mil przebywały okręty w 40 dni. Ceny za przewóz pasażerów i towarów spadły o połowę — dzięki tej wygodnej i taniej lokomocji. Nie było końca zachwytom.

„O użyteczności statków parowych — pisze jedno z pism — tem szczególniej przekonać się musiano, gdzie częstokroć zachodzi potrzeba pędzenia ich do góry. Jakże oporem idzie wtenczas żegluga, kiedy ludzie lub konie muszą ciągnąć statek przeciwko pędowi fal rzecznych? Ileż to przytem mitręży się czasu, ile sprzętu niszczeje...".

W Anglji pierwszy statek zbudowano w r. 1812 i nazwano go „Kometą" „Kometa" posiadała maszyny o sile „aż" 3 koni i musiała być bardzo zabawna. No, ale pracowano pilnie, ulepszając i poprawiając konstrukcję. Rezultat tej wytężonej pracy i pośpiechu możemy dziś naocznie stwierdzić. W każdym porcie stoją setki bezrobotnych, smutnych, ale zato jakże nowoczesnych statków.

Śladem Ameryki i Anglji idzie Francja, Austrja, Niemcy i inne państwa, które budują coraz większe statki. W niewiele lat potem rozpoczęły kursować między wielkiemi portami światowemi — po wszystkich morzach i oceanach pierwsze morskie statki parowe. Równocześnie pracowano nad konstrukcją i ulepszaniem wojennych okrętów, mających zabezpieczyć handel morski wielkich mocarstw.

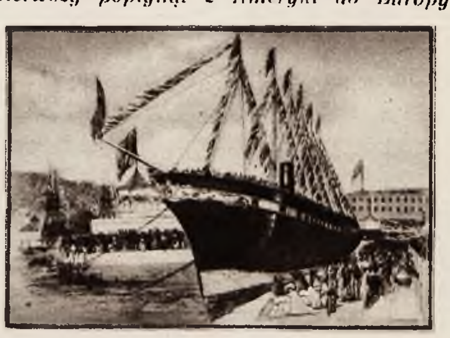
Romantyka dalekich podróży i wielki nieznany świat przepadł bezpowrotnie. Glob skurczył się. Rekordy i mrzonki „fantasty" w rodzaju Juljusza Vernego, zostały przed wielu już laty pobite i urzeczywistnione.

Początki jednak tego „zamachu" na czas i przestrzeń dokonanego przez genjusz ludzki przy pomocy maszyny, wydają nam się w dzisiejszych czasach tak zabawne i nieproporcjonalne do dnia dzisiejszego, że przypominamy je sobie rozweseleni i z uczuciem dumy.

Jednakże zmęczeni szaleństwem XX wieku powiedzmy na zakończenie: Szkoda tych dawnych dobrych czasów, kiedy świat był tak wielki, tajemniczy i tyle możliwości nastręczał. (jor)



Parowiec „Washington" w r. 1859 po raz pierwszy popłynął z Ameryki do Europy.



Pierwszy parowiec śrubowy — „Great Britain" został spuszczony na wodę w r. 1843.

Wielu kanadyjskich i amerykańskich miastach, przed witrynami sklepów ujrzeć można dziwacznie rzeźbione słupy, reklamujące w taki czy inny sposób sprzedawane w tych sklepach towary. Fantastyczne postacie ptaków, zniekształcone wizerunki ludzi — to wszystko zaś posplatane ze sobą od podstawy słupa aż do szczytu w jedną ciągłość tematową, zatrzymuje uwagę przechodnia i zmusza do zastanowienia.

Na pierwszy rzut oka widzi się obcą całkowicie kulturę, która dała tym słupom początek — widzi się jedną z pierwotnych cywilizacyj o specyficznym dla danego okresu czasu poglądzie na świat i życie, wyrażanym symbolicznie w tych rzeźbach poczwarnych, pomalowanych w jaskrawe kolory.

To totemy — pstrokate wykrzykniki indjańskiej myśli religijnej, groźnemi dziobami głów ptasich i wykrzywionemi twarzami karzełków strzegące resztek zamierzchłej przeszłości Ameryki, zaklętej w tych drewnianych rzezankach przez nieznanych nikomu twórców. Strzeliście wznoszą się ku niebu, rozrzucone po różnych kątach Ameryki Północnej, intrygując swą tajemniczością wielu uczonych, którzy poświęcają całe tomy t. zw. „totemizmowi".

Cóż to jest, ten totemizm? Skąd pochodzi jego nazwa? — te i tym podobne pytania cisną się natychmiast do głowy każdemu, kto po raz pierwszy spotyka się z nieznanem mu dotychczas pojęciem.

TOTEMY — AMERYKAŃSKĄ REKLAMĄ...



Totem, jako reklama sklepu.

Totemizm — jest to termin, wyrażający ścisłą łączność danego rodu lub klanu indjańskiego z wyobrażeniem jakiegoś zwierzęcia, grającego w tej „spółce" rolę opiekuńczego ducha rodu, od którego ród ów lub klan ma pochodzić. Takim duchem opiekuńczym może być również przedmiot martwy lub roślina — wreszcie jakieś zjawisko natury. Występuje to jednak rzadziej tak, że przeważnie zwierzęta mają tu największe uprzywilejowanie.

Zwierzęcia takiego nie wolno zabijać członkom rodu, któremu wedle wierzeń danego plemienia dało ono początek — jest świętem i nietykalnem — zabitego przypadkiem nie wolno zjeść. Natomiast gdy zwierzę pożre członka rodu swego — uważane bywa to za szczęśliwy dla pożartego traf, dla całego rodu zaś za pomyślną wielce wróżbę.

Takie zwierzę-ojca rodu lub klanu personifikował indjanin w wysokim, rzeźbionym słupie, pełnym tajemniczych wyobrażonych w drzewie symbolów, przedstawiających obrazowo a sugestywnie bohaterskie czyny klanu, rodu, czy też poszczególnego członka rodziny indjańskiej. Również i specyficzne właściwości charakteru głowy danego rodu znajdowały w totemach swe odzwierciedlenie.



Jeden z fragmentów słupa totemowego, o wielkiej sile wyrazu, który przedstawia głowę niedźwiedzia, pożerającego psa morskiego.



Niezwykle ciekawy okaz totema, znajdujący się w ogrodzie pałacu rządowego w Victorji, stolicy brytyjskiej Columbji.



Totemy w ludowym parku w Vancouver.

Indjanie amerykańscy, którzy odznaczali się przedewszystkiem wysoko rozwiniętą wyobraźnią, potrafili w swych słupach religijnych oddać z niewidzianą gdzieindziej wyrazistością charakter swej rasy, rasy namiętnej, krwiożerczej i okrutnej. Sępio zakrzywione nosy skrzydlatych zwierząt, groźnie wytrzeszczone oczy półzwierzęcych a półludzkich twarzy, rozwarte chciwie paszcze, trzymające pomiędzy kłami pożerane zwierzę, oto najczęściej spotykana treść tych, swego rodzaju jedynych na świecie osobliwości.

Z tego, co powiedzieliśmy wyżej, widzimy, że totemizm jest przeważnie, a w tym wypadku ściśle związany z pradawnym kultem zwierząt i jako taki występował również i w starożytnym Egipcie. Tam każda prowincja ze swą lokalną stolicą na czele miała swe święte zwierzę — które zabalsamowane — było dla zwykłego śmiertelnika niedostępnem i nietykalnem. Z kultem tym możemy spotkać się u znacznej części pierwotnych ludów globu — występuje on nietylko wśród Indjan amerykańskich, lecz także w najrozmaitszych formach u pradawnych szczepów południowej Azji, pozatem u Malajów, Melanezyjczyków Australijczyków i wreszcie w ojczyźnie ludów czarnych — w Afryce.

— — — — — — —

Totemy amerykańskie zdobią dzisiaj fronty sklepów Nowego Świata, drzemią w mrocznych salach europejskich muzeów, murszeją w zapomnianych grobowcach przebrzmiałych już dawno dziejów. Epoki rozwoju ludzkiego podają sobie poprzez wieki ręce, przekazując umarłą myśl religijną w pomnikach współczesnej jej sztuki. Kiedyś, po całych eonach lat — przed olbrzymiemi magazynami miast przyszłości — ułamki naszej epoki będą reklamowały jakieś fenomenalne wynalazki mózgów ludzkich, dumając samotnie wśród zalewu obcych im kultur o czasach swego rozkwitu i potęgi.

Prawo „panta rei" jest wieczne i nie spoczywa nigdy....

Adam Cyprian.



W. J. TURZAŃSKI

NOWELA

ILUSTR. Z. HAUPT

Nawet nie wiem, gdzie nabawiłem się tej złośliwej, podzwrotnikowej malarji. Może w Singapore, może na Borneo, może w Manila. Bóg jeden wie. Dość natem, że na raisie chwyciło mnie. Byłem drugim oficerem pokładowym kompanji „Orient Society" na transportowcu „Diabolo II". Jechaliśmy z Hong-Kong na Nagasaki. Wiało jak wszyscy djabli. Około godziny 2-giej po północy poczułem dreszcze. Nieco później pokład zaczął mi pod pogami tańczyć fokstrota a zęby dzwoniły do taktu. Dość na tem, że rozchorowałem się ciężko ze złośliwemi komplikacjami, bo po licznych tarapatach ocknąłem się z apatycznej gorączki w szpitalu... w Szang-Haju.

Chciałem ruszyć ręką. Skończyło się jednak na zamiarze. Byłem osłabiony do ostatnich granic.

Opadły mnie gorzkie myśli. — Oto włóczęga — myślałem — życie pełne przygód — czarowna bajka wschodnia z epilogiem szpitalnym.

I wtedy, kiedy zwartem kołem otoczyły mnie myśli zgoła beznadziejne, czyjaś twarz uniosła się z sąsiedniego łóżka i ktoś... mrugnął na mnie... Było to mrugnięcie szelmowskie.

— Hę — mruknął nieznajomy.

Milczałem.

— Lepiej już? — pytał dalej po rosyjsku.

— Mieux — odpowiedziałem po francusku.

— Pan... Chińczyk?

Byłem słaby, jak całkiem maleńkie dziecko. I w dodatku żółty, jak cytryna, jak mandarynka i podobny do Chińczyka.

Mój interlokutor pytał dalej:

— Rosjanin... co?

— ???

— Czech?

— Polak! — odparłem.

— No to... Austrja — zakonkludował.

— Nie! Polak.

— No to rewolucjonista... co?

— Nie!

— Biały?

— ???

— Trochę czerwony — troszeczkę? co?

— Ani biały, ani czerwony. Taki sobie biało-czerwony — mówiłem po polsku, a głos mój dudnił mi w uszach. Biała sala szpitalna uśmiechała się czerwonem słońcem. Wtedy właśnie zaczęła się moja przyjaźń z Aleksandrem.

Aleksander Baługin był oficerem rosyjskim. Stara, jak świat historja. Rewolucja wytrąciła go z normalnego życia i odtąd tułał się tam i sam walcząc o chleb powszedni. Nie dawał się jednak. Co najważniejsze, nie tracił humoru. Przez pewien czas był stewardem na angielskim okręcie. Przeszedł później do służby na pokładzie. Widziano go w Melbourne, gdzie ukończył kurs nawigacyjny. Dość na tem, że w Szang-Haju został najordynarniej w świecie pchnięty nożem w chwili, kiedy opuszczał jedną z licznych palarni opium.

Jestem pewien, że w tej sprawie musiała umaczać palce kobieta, albowiem Baługin był popularną reinkarnacją Casanovy.

Aleksander Baługin nie był podobny do Apolina. Nie! Człowiek ten przeszedł ospę, miał bliznę, biegnącą od lewego ucha do podbródka, 80 kg żywej wagi, wersalskie maniery i prezencję angielskiego policjanta. Jakiś rewolucyjny epizod załamał mu chrząstkę nosową, a złote zęby czyniły tę niebardzo pociągającą twarz, podobną do twarzy handlarza żywym towarem.

Mimoto jednak podobał się. Wiadomo, że niektóre węże posiadają dziwną, magnetyczną moc wzroku. Aleksander posiadał w swojem spojrzeniu coś — fascynującego. Jestem pewien, że takim wzrokiem patrzał wąż kusiciel na Ewę pod jabłonią pierworodnego grzechu.

I tak jak w zasięgu mocnej radjostacji grają detektory, w sąsiedztwie pięknego Aleksandra rozpoczynała się cicha, zgoła radjofoniczna gra miłości.

Zaczęliśmy powoli wstawać, chociaż ja byłem gorzki jak chinina, żółty jak Chińczyk i wiotki jak crêpe de Chine.

Nasza sytuacja finansowa przedstawiała się... słabo. Ja dostałem od Towarzystwa kilkadziesiąt dolarów i wypowiedzenie. Baługin już od dawna miał dużo wolnego czasu... Wtedy właśnie poznaliśmy... Ech, długa historja. Nazywała się p. de Bretessi. Działała z ramienia Ligi Narodów, Czerwonego Krzyża i t. d. Mąż jej niczem nie zdradzał wschodniego pochodzenia. Jestem jednak pewien, że w Trzeciej Rzeszy poddanoby go bezzwłocznie zabiegom sterylizacyjnym.

Był to kapitalista, prezes miejscowego Koła masonów, kawaler kilkunastu wysokich odznaczeń i znany w Szang-Haju lichwiarz. On to właśnie był jednym z głównych organizatorów przemytu broni.

Trzeba zaznaczyć, że w całych Chinach panował w tym czasie niesłychany bałagan. Portugalja wobec państwa „Błękitnego środka" była krajem porządku i bojaźni Bożej, a Meksyk zbiorowiskiem dobrze ułożonych gentlemanów.

Dla orjentacji powiem, że na północy srożył się na wpół dziki, ale arystokratyczny Czang-Tso-Lin. W Pekinie siedział pyskaty generał Czang-Kai-Szek. Zbroił się generał Wu-Pei-Fu, tajemnicze gry wojenne wyczyniał Feng.

W tym krótkim zarysie nie podaję luźnie krążących organizacyj bandyckich, które posiadały w Szang-Haju przedstawicieli i własny bank wypłat.

Pan de Bretessi był obywatelem szwajcarskim, co jednak nie zmieniało jego stosunku do kwestji uzbrojenia. Broń należało odebrać, oszacować, uzupełnić i do tego celu w sposób dyskretny wynajęto Aleksandra. Ja — byłem jego zastępcą.

Interes szedł. Skrzynie przychodziły z Europy jako... bagaż dyplomatyczny. Ciężki był to bagaż!

Zaczęło się nam wieść. I bylibyśmy dziś miljonerami, gdyby nie (rozumie się) kobieta. Tym razem ja zacząłem. Nazywała się Bianka Alaverro. Podlotek. Niedawno skończyła we Francji pensję. Papa — gruby paskarz. Poznaliśmy się na nudnym proszonym obiedzie, gdzie starsi panowie pełni pesymizmu rozmawiają o polityce. Później zmrok pozapalał ognie chińskich gwiazd, a niebo stało się ultramarynowe. Tańczyliśmy. Ech!... tańczył cały kolorowy jazz, tańczyły kieliszki, rytmicznie kołysali się starsi panowie, z werwą, po rosyjsku tańczył Aleksander, a moja polska zlekka wąsata dusza wycinała hołubce.

Pożniej... gdzieś zgubiliśmy się. Miękkim bluszczem otuliła nas altana. Bianka miała dziwnie uczciwe, morskie, nieomal zamorskie oczy i czarne, krótkie włosy garçonki. Wszystko gdzieś przepadło, tylko jakiś statek odjechał i czerwone światła zginęły w oddali. Tym statkiem jechała Bianka i ja. Jechał ktoś niezmiernie kochany, uczciwy, najlepszy — jechał mój skarb najdroższy, o który gotów byłem walczyć, za który gotów byłem umrzeć, dać się porąbać.

Nazajutrz przyszedł szary, cholerycznie szary dżdżysty, szanghajski dzień. Aleksander mrugał na mnie — wiedział o wszystkiem. Potem zaczął mówić, że zna takie uczucia, że jak był młodszy to w Odessie. . A raz zakochała się w nim czekistka, ale on...

Wieczór upewnił mnie w mojej wierze. Byłem bardzo szczęśliwy. Życie jest parszywe. — mówiłem sobie, a jedyną rzeczą dobrą są miękkie kobiece dłonie. Zresztą



...tylko jakiś statek odjechał...

mężczyzna samotny nie ma celu w swojem istnieniu. Dopiero miłość wnosi nowe wartości...

Tak, to była miłość!

P. de Bretessi ma do mnie zaufanie. Właśnie mi to przed chwilą powiedział. Ceni bardzo młodych, energicznych ludzi. Będę musiał pojechać „w sprawach handlowych". On, de Bretessi wierzy mi. Pojadę statkiem do Victoria. Wstąpię przytem do Macao i Kantonu. Tutaj są dokumenty, a tu korespondencja. Ładunek należy przejrzeć w Macao. Jego zaufany agent uczynił wszystkie odpowiednie kroki. Zatem — okręt odjeżdża jutro. Nakoniec życzył mi szczęśliwej podróży.

Pożegnałem się z Bianką. Ostrożnie zcałowałem z jej rzęs łzy. Z takiej podróży w tym brzydkim kraju można nie wrócić. Ale ona wierzy, że wrócę. Będzie się modliła do Madonny. Kiedy wrócę, będzie mnie jeszcze więcej kochać. O tak, wrócę napewno!

Aleksander odprowadził mnie na pokład. Pożegnał mię serdecznie. Słowiańska dusza! Ucałowaliśmy się.

Cztery tygodnie przeszły mi na podróżowaniu. Całe cztery tygodnie! Ten stary przemytnik ukradł mi najcenniejsze chwile życia. Lecz, oto wracam. Nie przymknęli mnie portugalscy celnicy w Macao, ani nie porwali chińscy piraci. Jeszcze dzień — a minę wysunięty palec przylądka Nig-poo. Radosnem, tajemniczem mrugnięciem przywita mnie Aleksander. Bianka przytuli się ufnie do swojego błękitnego rycerza. Ten stary mason uściśnie mi dłonie. O tak! Nie zawiodłem niczyich nadziei. Jeszcze godzina — a okrętowa syrena wśród kłębów pary wyrzuci w niebo — do góry triumfalne Szang-hajiiiiiii!

Dawno już wyszedłem z lat młodzieńczych i mógłbym niejedno powiedzieć o kobietach. W każdym porcie nabywałem w tej dziedzinie zasób wiedzy, stojący niejednokrotnie na poziomie uniwersyteckim. Chciałbym zaznaczyć, że już w Victoria zauważyłem, że niektóre Angielki są czasem zupełnie gładkie. W Kantonie poczyniłem mimochodem pewne studja, rzucające dużo światła na duszę południowych Chinek. Tak — myślałem — dusza ludzka jest ułomna. Cóż zatem sądzić o kobiecie, która według Koranu zupełnie takowej nie posiada? W jaźni jej panuje bezhołowie.

Zresztą — według niektórych filozofów wschodu, niewiasta posiada duszę. Tak, dusza jej składa się z siedmiu elementów, rodzaju żeńskiego. Jest to zatem rodzaj parlamentu, gdzie... również panuje bezhołowie. Pewnego dnia przychodzi mężczyzna i zaczyna się gra. Potem mężczyzna energicznym kluczem pocałunku zamyka parlament. Upada wszelka dyskusja i następują zdrowe rządy silnej ręki.

Aleksander posiadał piękny wąsik i prezencję angielskiego policjanta. Domyślałem się czegoś. Pełen niepokoju znalazłem ich siedzących razem na kamiennej ławeczce. Karłowata jabłoń otulała ich swoim cieniem. Siedzieli do siebie przytuleni. Zrobiło mi się przykro, poczułem sę, jak niepotrzebny człowiek. I wtedy, jako człowiek dobrze wychowany — chrząknąłem.

Myliłby się ktoś, gdyby sądził, że odskoczyli od siebie. Aleksander poprostu mrugnął na mnie i powiedział uradowany:

— Ot — i Stach!

Bianka spuściła oczy. Baługin szedł do mnie z wyciągniętemi rękami. Coś go jednak zatrzymało. Stanął. Mnie tymczasem opanowała szkarłatna fala zazdrości. Przecież to była podłość, tak komuś zabrać dziewczynę! Ale Bianka już wstała i szła do mnie.

— Bianka — szepnąłem — Bianka, jak mogłaś!

Stała blisko i widać było, że w serduszku jej toczy się zacięta walka. Wreszcie zobaczyłem, jak po jej twarzy zaczynają się staczać ciężkie, rozpaczliwie ciężkie łzy.

— Zostaw nas samych, zwróciłem się do Aleksandra. Muszę z nią pomówić.

W oczach Aleksandra błysnęła ironja.

— Zostawić was samych! — wycedził.

— Tak — mówiłem — chciałem z nią pomówić. Bianka jest moją!

Człowiek, który stał obok, wyprostował się. Ale i mnie zaczął ponosić gniew. Bianka z płaczem pobiegła w głąb ogrodu. Patrzyliśmy na siebie, jak dwa wilki. Jeszcze chwila... a...

Wtedy Aleksander ubiegł mnie. Skłonił się dwornie. Z zjadliwym uśmiechem syknął:

— Moi sekundanci poinformują pana o godzinie — panie Stanisławie. Zatem — do zobaczenia!

P. de Bretessi ubolewał nad tą przykrą historją. Bądźcobądź młodzi, odważni i uczciwi mężczyźni, a postępują tak nierozsądnie. Ludzie będą różnie mówili. Z bronią może się zdarzyć wypadek. Całość odbije się ujemnie na kredytach firmy. Pani de Bretessi wyraża również żal z powodu całej sprawy. Tak, żal i smutek.

Później dowiedziałem się, że p. de Bretessi zrobiła scenę zazdrości o... Aleksandra! Wszystko skrupiło się na łysawej głowie jej małżonka.

W międzyczasie odwiedziło mnie dwóch gentlemanów. Jeden z nich, lekarz angielski, mówiąc do mnie patrzał gdzieś nieskończenie wyżej i głosem pełnym flegmy oświadczył, iż klient jego p. Baługin został przezemnie śmiertelnie obrażony, tak, że tylko krew może zmyć skazę, jaka powstała na honorze jego. Poczem ziewnął i poszedł.

Nazajutrz wypadki pobiegły logicznym trybem. P. de Bretessi wezwał do siebie Aleksandra na „konferencję", w wyniku której Baługin otrzymał wypowiedzenie, sześciomiesięczną gażę i bilet do Londynu. Wieczorem w chwili, kiedy wybierałem się do Bianki otwarły się drzwi i w wejściu stanął.. Aleksander.

Oczy mu błyszczały. Mrugnął na mnie.

— Stach!

Było to wbrew postanowieniom kodeksu honorowego. Jako powaśnionym w żadnym wypadku nie wolno było nam wprost ze sobą się komunikować. Mimoto jednak zapytałem:

— Czego pan chce?

— Stach — mówił Aleksander. — Ot, my dwaj — zgubieni na dalekim wschodzie, sponiewierani przez los — cóż? będziemy się strzelać? Mamy sobie jak dwa młokosy robić o podwikę reklamę? Niewiasty — jak niewiasty. Dużo ich jest, dużo będzie. Niewiasty to detal. Wszystkie jednakie. — Przyznał się, że zawinił. Zaczął przepraszać, tłumaczyć.

I usiadł ciężko. Musiał wypić wiele, albowiem „ział" jak wentylator tajnej gorzelni. A potem mówił dalej:

— Wiesz Stach, a gdyby my tak — razem poszli do niej? Spytamy się, musi któregoś wybrać. Ten drugi, pożegna się. Pojedzie w świat! Pojedzie i zapomni. Co? jak sądzisz — pójdziemy?

I poszliśmy. Na niebo wypłynął brzuchaty fałszerz srebra, szanghajski księżyc. Bledziutkie chmurki całowały widnokręgi. Biały kollektyw nowoczesnych domów zlewał się z masywem miasta. Czasami z za rogatych głów pagód wystrzelały do góry bengalskie ognie. Wiatr delikatny, morskoskrzydły wiatr, szeleścił i płakał na ostrych liściach bambusu. W dzielnicy „Zamorskich djabłów" zamierała wrzawa kolorowego miasta. Ulicami tam i sam chodził poważny aryjski spokój i ostre patrole. Zresztą cisza.

Cichutko weszliśmy na kamienne schody. Skośnooki Chińczyk zgiął się we wschodnim ukłonie. I nagle usłyszeliśmy jej głos.

Cichutko unisono śpiewała pełną smutku piosenkę o francuskich marynarzach. Perlisty śpiew — szelest przedzierał się przez ogród i skraplał się słodyczą w naszej świadomości. Szliśmy dalej na palcach. Na wysypane piaskiem chodniki zaglądała seledynowa poświata. W powietrzu unosił się jakiś dziwny, romantyczny nastrój.

Nagle Aleksander stanął.

— Cyt — szepnął — ona tam jest.



Siedzieli do siebie przytuleni...

— Tam jest ktoś trzeci — odparłem.

— Ktoś czwarty — poprawił Olek.

Siedzieli do siebie przytuleni, tyłem do nas. On miał na sobie mundur i czapkę oficera marynarki. Chcieli zamienić pocałunek i wtedy my jako ludzie dobrze wychowani chrząknęliśmy obaj.

Oficer marynarki odwrócił się. Poznaliśmy wtedy, że nie był to oficer, tylko kadet. Japoński kadet cesarskiej, wojskowej szkoły. Patrzyły na nas oczy skośne, twarz żółta, niepoważnie wąsata, jakaś starcza i dziecięca zarazem. Była to twarz „żółtej małpy".

Ryknęliśmy wtedy jak na komendę śmiechem. Ja i Aleksander. Wiliśmy się w konwulsjach. Dostałem czkawki, a Olek rechotał jak pluton marynarzy. Zapłakaliśmy się obaj ze śmiechu, twarze posiniały nam a gardła rozsadzał istny tajfun. Wracając stawaliśmy na rogach ulic, ażeby się jeszcze wyśmiać. Dwa razy legitymował nas patrol. Tubylcy omijali nas jak trędowatych lub nawiedzonych przez złego ducha Fujszun.

Ilekroć spojrzeliśmy na siebie powracała na nowo fala dobrego humoru i na nowo dostawałem czkawki i wycierałem łzy serdecznego śmiechu.

Tej nocy piliśmy obaj z Aleksandrem do rana. Nazajutrz Baługin sprzedał bilet do Londynu. W kilka dni później dwaj europejczycy jadący I klasą w kierunku na Filipiny, wybuchnęli śmiechem na widok japońskiego dyplomaty, jadącego w przedziale. Baron No-Omokura poczytał ten fakt za dowód ludowego pochodzenia towarzyszy podróży i pełen godności wycofał się z przedziału.

HANDEL WYMIENNY NA OLIMPIE

Kryzys, który objął cały świat, wtargnął również w zaciszną i romantyczną krainę sztuk pięknych i poezyj. A może właśnie tam dał się odczuć bardziej niż w innych dziedzinach, gdyż artyści i poeci są po większej części, jak wiadomo, mniej przygotowani do walk z życiem niż inni ludzie. Gdy jednak liczni malarze, nawet bardzo znani, zobaczyli, że publiczność ogranicza się do minimum, jeżeli chodzi o rzeczy potrzebne, a cóż dopiero o przedmioty zbytku, postanowili z właściwą sobie fantazją wziąć, jak to mówią, byka za rogi i stawić czoło kryzysowi.

Nietylko w Paryżu, w tem typowem mieście cyganerji i „malarji" wszelkiego rodzaju ale również w innych stolicach Europy artyści zorganizowali się w sposób nadwyraz pomysłowy i praktyczny. Np. w takiej Kopenhadze powstaje specjalna organizacja pt.: „Kunst for Varer" — „Sztuka za towar". — Ma ona za zadanie gromadzenie przedmiotów sztuki, a więc obrazów, rzeźb, rysunków itd., celem wymiany ich na towary spożywcze, przedmioty pierwszej potrzeby, jednem słowem te wszystkie poziome i „niskie" artykuły, bez których nawet najgenjalniejszy artysta obyć się nie może. Do dziwnej tej organizacji należą prawie wszyscy artyści stolicy Danji, oczywiście tylko ci, którzy naprawdę są artystami i którzy od pięciu lat swoje dzieła wystawiali już publicznie. Są oni tak dobrze zorganizowani, a sama organizacja cieszy się takiem uznaniem wśród społeczeństwa, że dochodzi tam naprawdę do bardzo korzystnych, aczkolwiek nieraz zadziwiających zamian.

Sława organizacji „Kunst for Varer" zyskała sobie wkrótce takie uznanie nietylko w Danji, ale też zagranicą, że ciągle napływają zgłoszenia z Paryża, Oslo, Sztokholmu lub Ameryki z prośbą o informacje, celem założenia identycznych w tamtych krajach.

Rzeczywiście, o ile na pierwszy rzut oka obraz rzeźnika niosącego wspaniałą szynkę i kosz kiełbas do atelier malarskiego, jest nieco dziwny, to jednak mimo oryginalność pomysłu, jest to wysoce logiczne i dobre. — Niedawno temu pewien artysta duński wybudował sobie willę wartości 6000 koron, nie płacąc zresztą ani grosza, lecz wkrótce ogromna ilość murarzy, cieśli, stolarzy i innych rzemieślników mogła sobie powiesić na ścianie piękne obrazy nowego właściciela willi. Zamiany towaru na towar dokonywują nieraz artyści nawet między sobą, przyczem zdarzają się oczywiście mimowolne śmieszne pomyłki. Nieraz za dostarczony obraz artysta bierze rodzaj abonamentu na pewien czas, zwłaszcza jeżeli chodzi o spożywcze artykuły i ma w ten sposób zapewnione utrzymanie na dłuższy przeciąg czasu. W salach towarzystwa „Kunst for Varer" widać też licznych piekarzy, rzeźników, kupców kolonjalnych i t. d., którzy przychodzą z miną znawców obejrzeć sobie najnowsze obrazy. Oczywiście, że jest to możliwe tylko w kraju, w którym szerokie sfery społeczeństwa posiadają nietylko pewien zmysł estetyczny, ale przedewszystkiem pewne aspiracje kulturalne i co najważniejsze, mogą sobie pozwolić na miły, a niepotrzebny wydatek.

Słysząc o nadwyraz trudnych warunkach, w jakich dzisiaj żyją nasi artyści, którzy nietylko już nie mają możności utrzymania się na pewnej stopie życiowej, ale nieraz odmawiać sobie muszą nawet lepszego obiadu, przychodzi niejako automatycznie myśl, będąca zresztą tylko echem zagranicy, aby podobne towarzystwo założyć i u nas. Trzeba bowiem wziąć pod uwagę jeden ważny moment, na który zdaje się dotychczas niedostatecznie zwrócono uwagę. Chodzi o ułatwienie publiczności zobaczenia utworów artystycznych, i to nie na wystawie, która wstępem swoim i atmosferą tam panującą onieśmiela może niejednego laika, ale niejako na zwykłym rynku, który za jedyne zadanie ma doprowadzenie do wymiany towaru na towar. Można być przekonanym, że sprowadzenie dzieł artystów do poziomu obiegowego towaru nic nie zaszkodzi ich wartości, a równocześnie doda im tylko ruchliwości kupieckiej i pewnej „obiegowości". Czasy dzisiejsze są tak pozytywne i tak bardzo oparte na czynności, zwanej pospolicie „z rączki do rączki", że wprowadzenie tego systemu zagranicznego na naszym rynku artystycznym domaga się conajmniej zbadania, jeżeli już nie zrealizowania.

Gamma



Z jednej strony niezbędne w życiu towary pierwszej potrzeby, z drugiej paleta, źródło utworów artystycznych — oto zagadnienie, które rozwiązują artyści duńscy.



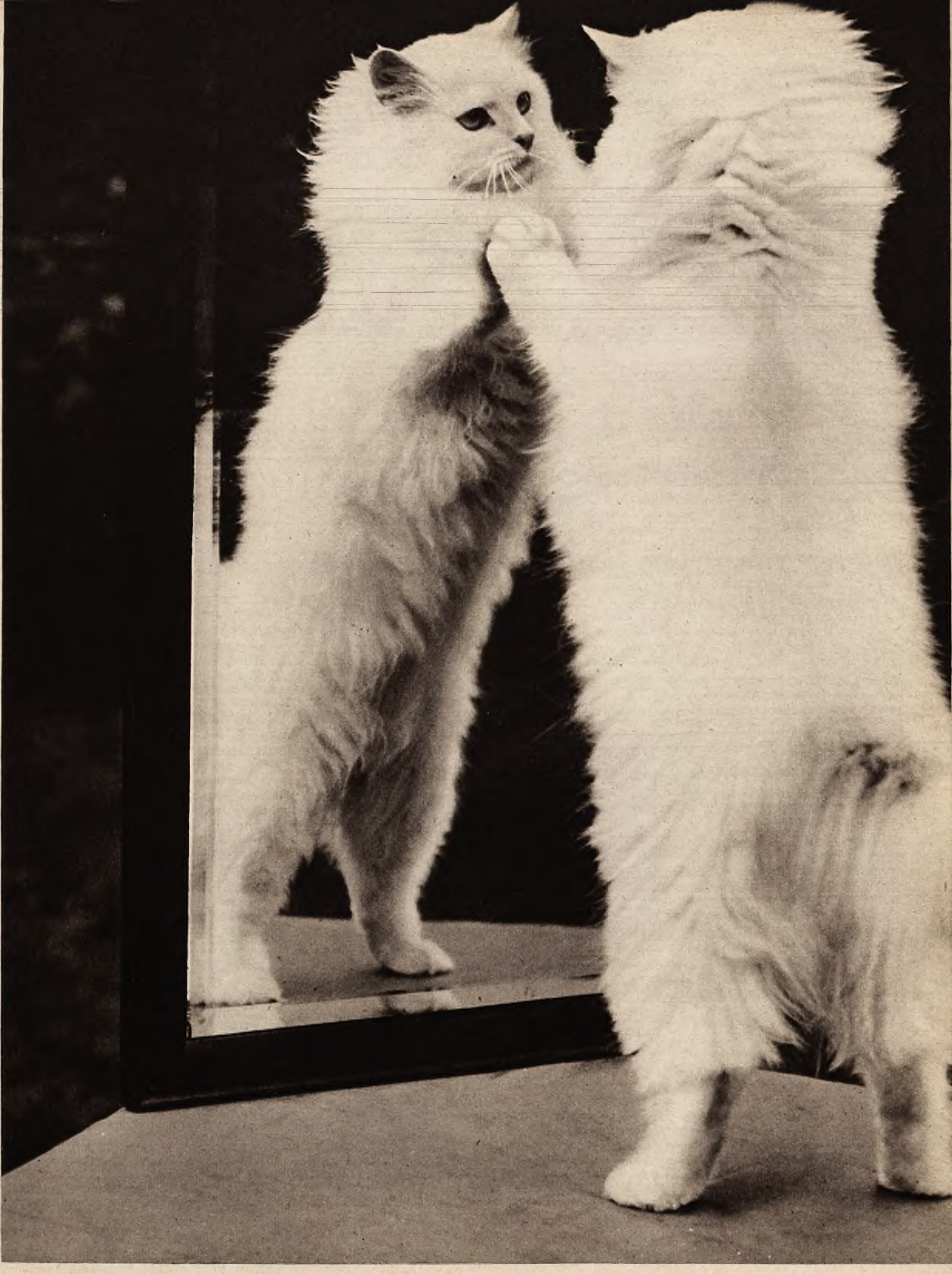
Nienależący do towarzystwa „Kunst for Varer" artysta osobiście załatwia transakcję zamienną w składzie kolonjalnym.



Szewc — mecenas sztuk pięknych zamienia swoje wyroby na obraz.



ZADOWOLENIE. Chociaż już setki razy piękna kobieta widziała swe odbicie w lustrze, to jednak nie zaszkodzi stwierdzić raz jeszcze... że jest piękna.



ZDZIWIENIE. Po raz pierwszy zdarzyło się kiciusiowi stanąć w obliczu... siebie samego, dlatego też jest nieco nieswój i ciekawie się sobie przygląda.

RUMIEŃCE I ZMARSZCZKI ULICY.



W początkach XIX wieku wycieczki w okolice Warszawy odbywano w niezbyt wygodnych wehikułach.
Rys. Jakóba Sokołowskiego z książki „Pustelnik" 1818.

Ogół ludzi bardzo mało zwraca uwagi na wygląd ulicy. Traktuje ją poprostu jako zbiorowisko domów i drogę prowadzącą do tego lub innego punktu miasta, zapomina natomiast o tem, że ulica ma swe własne, odmienne życie, że ma swe oblicze, swój charakter, swój uśmiech i swą łzę. Tak, ulica żyje podobnie jak i ludzie, przemienia się, starzeje i odmładza, popada w nędzę lub dochodzi do bogactwa i znaczenia. Tymi zaś, którzy najbardziej przyczyniają się do jej wyglądu i którzy ją ożywiają, są stałe typy uliczne, sprzedawcy, kramikarze, wędrowni kupcy, domokrążcy.

Oczywiście, że najbardziej może charakterystycznie i ciekawie przedstawiają się te typy zagranicą, zwłaszcza na południu i wschodzie. Tam przecież wszelkie nieomal transakcje handlowe dokonywuje się na powietrzu, a wszelkie towary można nabyć w kramikach ulicznych. Tam zamiast „lady" leży jedynie dywan czy płachta. Cała Turcja, część Bałkanów i cały Wschód jest jednem wielkiem obozowiskiem kupców, a składy i sklepy w europejskiem pojęciu należą jedynie do wyjątków. Nawet fryzjer potrzebujący u nas luster, szczotek i różnych przyrządów technicznych do swego zawodu, tam, na wschodzie, obywa się bez tego i wykonuje swe czynności pod gołem niebem. Ale są tam też biura, które klientom za drobną opłatą piszą listy urzędowe, miłosne, czy handlowe, są też kabalarki, odkrywające przed ciekawym jego przyszłość, jest wiele jeszcze innych składów czy przedsiębiorstw.

Oczywiście, że każdy kto był we Włoszech przedfaszystowskich przypomni sobie słynnych „lazzaronów" o typowym wyglądzie, wygrzewających się pod kościołami i różnemi pałacami. Typ ten, tak ozdobny i ciekawy, zginął, względnie schował się do głębi domów pod rządami Mussoliniego. Wenecja słynie ze swych gondolierów, którzy nietylko odznaczają się dziwnym romantyzmem w wyglądzie, w swych płaszczach i artystycznych kapeluszach, ale umieją też przeważnie pięknie śpiewać, jak zresztą większość Włochów, urodzonych aktorów i śpiewaków. Równie ciekawymi są typy sprzedawców pamiątek lokalnych we Włoszech, jakoteż świętych obrazków i innych dewocjonalij w miejscach pielgrzymek. Ten ostatni typ i nam nie jest nieznany, zwłaszcza, gdy jesteśmy w Częstochowie, Wilnie, Kalwarji, czy na Bielanach. Podobne zwyczaje panują również u Hiszpanów, którzy jak wszystkie narody południa zdradzają wielką sympatję do gołego nieba i niechętnie przebywają w murach, będących tam raczej kryjówką przed niebezpieczeństwami życia.



Oto nowoczesne wydanie warszawskiego „sałaciarza".

Każdy kraj oczywiście ma swe typowe zjawiska uliczne, wszędzie zaś są one uzależnione od warunków bytu, od stanu ekonomicznego kraju, od tysięcznych drobnych napozór szczegółów życia. Ulica jest też ze swymi typami sprzedawców ciekawym wskaźnikiem dla ekonomisty i niejedno możnaby się z drobnych obserwacyj dowiedzieć o bogactwie danego kraju. Jeżeli w Paryżu typ „camelota" jest nadwyraz popularny, a również czyściciela butów, chłopców sprzedających różne drobne „wynalazki", jak zapinki do krawatek, guziki, grzebienie i t. d., a również pocztówki paryskie, to znów Ameryka i kraje anglosaskie wogóle posiadają na swych ulicach sprzedawców o odmiennym typie.

Niektóre z tych postaci stają się zczasem niejako symbolem miasta albo w każdym razie zlewają się z niem w jedną całość. Czyż na wspomnienie Wiednia nie staje nieomal mechanicznie w pamięci postać „fiakra" i „zweispännera", który posiada zupełnie swoiste moralne i fizyczne oblicze? Dziwaczny nieco ubiór, — spodnie pepitowe, marynarka ciemna i melonik, — w połączeniu z dobroduszną twarzą i pewną przedmiejską elegancją tworzy nadwyraz ciekawy i pocieszny typ. Jeżeli się znało przedwojenne miasta Małopolski to można się przekonać, że i tu istniały imitacje wiedeńskiego



Charakterystyczny typ warszawskiego woźnicy z okresu powstania 1863 r. według obrazu Juljusza Kossaka.

fiakra. Podobnie charakterystyczni są po dziś dzień fiakrzy wileńscy, ze swymi arcymałemi dorożkami.

Lecz nie potrzebujemy sięgać aż zagranicę, u nas znajdziemy zarówno w chwili obecnej jak i dawniej wiele ciekawych typów ulicznych. Pod pewnemi wzgędami typy polskiej ulicy są bodaj że ciekawsze jak gdzieindziej, większe bowiem były tu zmiany i więcej ich zginęło w ostatnich czasach. W poznaniu tych dawnych typów przychodzą nam z pomocą przedewszystkiem karykaturzyści i artyści, obserwujący znacznie lepiej bieżące życie, jak ludzie... poważni! Taki np. znawca starej Warszawy i jej typów, jak J. Kossak zachował nam postać warszawskiego dorożkarza z dawnych czasów. — Jakób Sokołowski znów, karykaturzysta-amator, uchwycił swym ołówkiem typ pojazdu z czasów Królestwa Kongresowego, jakim się mieszkańcy stolicy udawali na wycieczkę za miasto. Lecz ileż takich typów ciekawych było jeszcze w Warszawie i w innych miastach Polski! — Oto postać handlarza cebulą i czosnkiem, sprzedającego również sieci, gdzieindziej znów wyłania się handlarz orzechami włoskiemi, nieraz ubrany w dziwaczny żupan, wysoką czapę, tu znów biegnie chłopak z gazetami, sprzedający „Gazetę Warszawską" i „Kurjera Warszawskiego". Za czasów rosyjskich, w chwili największego nasilenia wpływu rusyfikacyjnego zjawił się na ulicach Warszawy handlarz lodami i słodyczami, który swem nawoływaniem „Sachar marożny! Sachar marożny!" zyskał sobie to przezwisko. Na niskim cylinderku nosił on rodzaj kadzi drewnianej, napełnionej wszelkiemi gatunkami lodów. Ubrany w rubaszkę naskos zapiętą, z typową, obowiązkową brodą, był on niejako ulicznym symbolem rosyjskości i rusyfikacji. A słynny piaskarz, wiozący piasek wiślany, tak potrzebny w dawnem gospodarstwie domowem? I on jeszcze istnieje, chociaż nie jest już tak ważnym producentem jak dawniej. — Inny nieco obraz ma ulica w Małopolsce, inny jeszcze w Wielkopolsce. Tu, w dawnej Galicji handlarze „precli" są odpowiednikiem swych kolegów warszawskich, sprzedających „obwarzanki" lub pierniki w „Ogrodzie Saskim", zwanych naówczas „brukowcami" Takież „brukowce" sprzedawano w połowie XIX. wieku w parku łazienkowskim, gdzie młodzież zajadała je ze smakiem, popijając wodą z źródła. Okrzyk zawodowy „Handel! Handel!", zmieniający intonację zależnie od dzielnicy do dziś pozostał typowym dla miast naszych. Lecz w ostatnich czasach przybyło dużo nowych typów, zależnie od nowych towarów, potrzeb i mody. Wielką popularnością cieszą się sprzedawcy „kur", gdaczących z tektury, sznurowadeł, zapalniczek niestemplowanych, których w okolicy np. dworca wiedeńskiego w Warszawie jest aż kilku. W Poznaniu do dziś dnia utrzymała się stara tradycja św.-marcińska, w tym dniu bowiem pod kościołami zjawiają się małe kramiki, w których dostać można tak zw. „uszy świńskie", tj. ciasto wypiekane w postaci rurki, dosyć twarde i słodkawe. Gdy pewnego razu pytałem się sprzedawczyni tych „świńskich uszu" od kiedy datuje się ten zwyczaj, spojrzała na mnie ze zdziwieniem i oświadczyła, że jest on tak stary, jak kościół św. Marcina. Czy informacja ta odpowiada prawdzie nie wiem, ale zapewne takie „uszy świńskie" kupowali dawni Polacy, przyjeżdżający na jarmarki do Poznania już w XVI wieku, a może wcześniej. Nie można też zapomnieć o ulicznych kapelach, które ostatnio pojawiły się w naszych miastach

Ruch handlowy na ulicy reguluje samo życie. Jedne typy giną, stając się niepotrzebnymi, inne wypływają na widownię. Nowym takim nabytkiem ulicy wielkich miast — to szofer. Ubrany często w skórzaną kurtkę i czapkę sportową, jest on dziwnem przejściowem stadjum między inteligentem a człowiekiem, jak to mówiono dawniej, — prostym. Ma nieraz pewne wykształcenie techniczne, często jest samoukiem, nie cieszy się ogółem zbyt wielkim mirem w społeczeństwie, może niezasłużenie. Natomiast wszelkie kramiki z jedzeniem, słusznie zyskują sympatje publiczności. Przekupka krakowska, „urzędująca" na rynku, jest chyba równie wiekiem czcigodna, jak sama stolica podwawelska. Istotnie, czytamy o niej w kronikach, zjawia się ona w literaturze, pisze o niej wielki jej znawca i przyjaciel, Michał Bałucki. Istnieje ona do dziś dnia i broni się dzielnie przed kryzysem. W Paryżu znów i miastach francuskich wogóle, odpowiednikiem jej są może handlarze kartofelków „pommes soufflées" lub „pommes frites" albo też „pailles", które zawijane w bylejaką gazetę mimo to smakują świetnie zwłaszcza podczas mrozów. Życie drobnych ulicznych sprzedawców nieraz musi zastanowić obserwatora. Zarobki ich są tak na oko minimalne, że dziwić się wypada, iż wogóle handel ten się opłaca.

Tak, poza swą barwnością, ulica posiada również swą... szarą stronę!

Jan Maleszewski.



Chłopak z balonikami nadaje dużo barwności współczesnej ulicy.





Handlarz orzechami włoskiemi należał w Warszawie do charakterystycznych typów.



Powyżej: Włoski makaron wyrabiany jest nieraz w „fabrykach" ulicznych.

W kole: Neapolitański handlarz niedopałkami cygar cieszy się wśród swych kolegów należnem poważaniem.





Na lewo: Posłaniec warszawski jest jednym z najbardziej oryginalnych typów ulicznych — Powyżej: Na ulicach Konstantynopola urzęduje pokątny pisarz, układający listy swym klientom.



Typowy tancerz murzyński, który zarówno w kabaretach, jak w przedstawieniach choreograficznych staje się coraz rzadszem zjawiskiem.

Już na kilka lat przed wojną taniec artystyczny zaczął przechodzić przez liczne metamorfozy, stając się z estetycznej rozrywki towarzyskiej ekspresją plastyczną równie bogatą i urozmaiconą, jak malarstwo czy rzeźba. Możnaby go bez przesady przyrównać do tej ostatniej z tą tylko różnicą. że forma ta posiada oczywiście o tyleż bogatszą skalę możliwości, o ile żywe ciało ludzkie góruje nad martwym kamieniem, czy marmurem.

Słysząc o nowych tańcach artystycznych, mających wyrażać nietylko pewne nastroje, ale również uplastyczniających pewne utwory poetyckie czy muzyczne, zapatrywałem się na te próby dosyć sceptycznie, aż do chwili, kiedy.... Było to w Dreźnie przed wojną. Na scenie miały się ukazać tańce, odzwierciadlające myśl przewodnią różnych sławnych kompozycyj muzycznych. Na programie widniały nazwiska Mendelssohna, Szopena, Mozarta, Czajkowskiego. Chociaż nie byłem zaawansowany w muzyce, a o tańcu miałem tylko ogólne wyobrażenia, mimo to, a może właśnie dlatego, obserwacje poczynione podczas przedstawienia były bardzo charakterystyczne. Wyszedłem oczarowany i najzupełniej nawrócony na wiarę tańców plastycznych. Wspaniała „Frühlingslied" Mendelssohna odtańczona przez znaną tancerkę, której nazwiska niestety nie pamiętam, dopiero w tej interpretacji tanecznej uwydatniła w pełni swe walory artystyczne, gdyż strona fonetyczna i optyczna zlewały się w wspaniałą symfonję nie mającej sobie chyba równej.

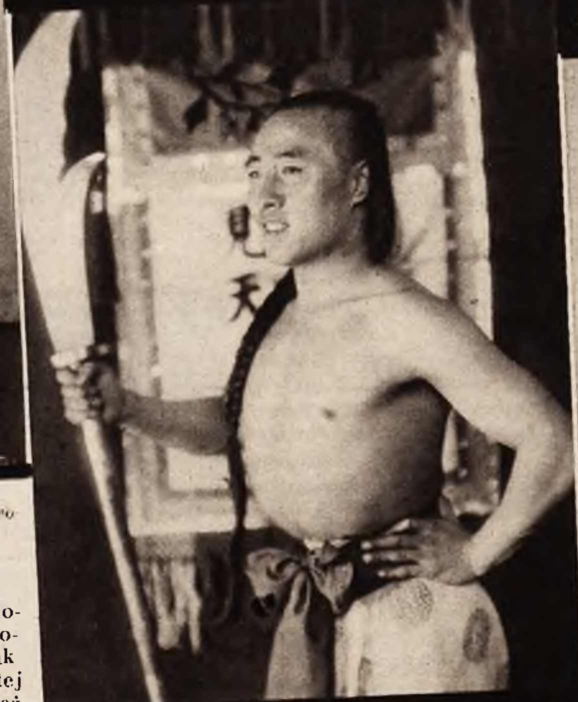
Jak wiadomo jedną z pierwszych wielkich artystek tej nowej sztuki tanecznej była słynna Isadora Duncan, a następnie bardzo wiele dla tańca plastycznego zrobiła szkoła Dalcroze'a. Bezwąpienia duży wpływ na tańce plastyczne wywarł sport, a przedewszystkiem coraz większa swoboda w ubraniu i dążność do uczynienia go jak najwygodniejszem. Koncepcja tańców zaczęła się oswabadzać z dotychczas obowiązujących strojów balowych, czy konstjumowych i zaczęto szukać nowych walorów nie w samym kostjumie, a w ciele ludzkim. Oczywiście, że musiało się ono stać niebywale ekspresyjne, ruchliwe i giętkie.

Jak w wielu innych wypadkach, tak i tu Europa nauczyła się wielu rzeczy od egzotycznych, a nawet dzikich ludów. Przecież właśnie one do dziś dnia zachowały tańce religijne, wyrażające znacznie więcej, jak konwencjonalne estetyczne ruchy, bo będące odbiciem wewnętrznego nastroju duszy i głębszej myśli. To, co tancerz egzotyczny wdziewa na siebie podczas tańca jest tylko symbolem, a nie zwykłą ozdobą, jak to bywa u nas.

Obecna chwila obfituje, jak może nigdy przedtem w sławnych i naprawdę wielkich tancerzy. Jeżeli czasy przedwojenne [...] swoją Isadorę, a później Karsawinę i Niż[...]go, to dzisiaj wychowanek rosyjskiej sztu[...]nej Lifar, Harald Kreuzberg, Maks T[...] Parnell, Takaya Eguczi i tylu innych pro[...] taniec po raz rozpoczętej tak ciekawej dro[...]. Każdy z nich pokiem zupełnie odrębną e[...]sje, inne podejście siada nietylko inny reper[...] ale przedewszystdo tematu i wiele swoist[...]ch. Kreuzberg odznacza się wielkiem wycz[...] rytmiki, Takaya Eguczi wykonywuje tańce [...]łączone z akrobatyką, a wszyscy posiadają [...]ywają wprost czystość linji w tańcu, log[...] przeprowadzenie przewodniej myśli i wiel[...] harmonję. Pewnego razy oświadczył Harald K[...]zberg, że każda część ciała powinna w tańcu coś wyrażać, powinna uzmysławiać pewną myśl lub uczucie, a wszystkie te momenty razem powinny tworzyć jedną wielką harmonję. Oto jest credo dzisiejszego tańca artystycznego. O walorach jego trudno mówić abstrakcyjnie i trzeba je widzieć. I jeszcze jedno: taniec współczesny pozbył si wszelkiej afektacji, a jeżeli ją posiada, to celowo, a nie jak tańce operowe w przeszłości, które w żelaznym swym repertuarze posiadały nieodzownie tę właśnie cechę. Dzisiejszy tancerz nie mizdrzy się przed widzem, tylko stara się wyrazić nieraz bardzo poważne i bardzo zasadnicze myśli.

JGM.

TANIEC ZWIERCIADŁEM DUSZY.



Taniec chiński opiera się na motywach wojennych, to też taniec mieczów należy do starej tradycji narodowej. Na zdjęciu wykonawca starochińskiego tańca..



Ted Shawn umiał podcz[...]go pobytu wśród Indjan amerykańskich, poznać [...]ginalne tańce i stworzyć na tych tematach liczne [...]we utwory choreograficzne. Na zdjęciu Ted Sha[wn w] [...]konywujący taniec, zatytułowany „Wzywanie boga deszczu".



Maks Terpis rozwiązał nadwyraz trudne zadanie, polegające na przejściu od starożytnego tańca do nowoczesnego.

Od lewej: Do wysoce uzdolnionych tancerzy należy również Jawajczyk Raden Mas Jadlana, który pomysły do swoich tańców czerpie z religijnych tradycyj swej ojczyzny.

Najlepszym tancerzem niemieckim jest bezwątpienia Harald Kreuzberg, to też tańce jego odznaczają się nie tylko piękną formą i linją, ale są pełne wyrazu

Wielkie tradycje opery petersburskiej i dzisiaj nie zaginęły, gdyż teatr państwowy w Moskwie posiada takiego „asa" tańca jak Assafa Messerera, będącego jednym z najwybitniejszych tancerzy świata







Rolf Arco, b. członek baletu opery państwowej w Berlinie, należy do najbardziej znanych tancerzy świata. Na zdjęciu znany artysta w swej roli z „Legendy Józefa".



KORONA GDYNI



Szkic elewacji bocznej bazyliki morskiej w Gdyni, projektowanej przez inżyniera architekta Bogdana Pniewskiego.

Charakter architektoniczny rozbudowującej się żywiołowo Gdyni obrazuje nerwowość współczesnych prądów, poszukujących nowej myśli architektonicznej.

Niestety w gorączce rozbudowy miasta opierano się na obcych wzorach, nie wnosząc w gdyńskie budowle twórczej, polskiej myśli architektonicznej. Gdynia nie posiadła dziś jeszcze swego własnego urbanistycznego wyrazu, lecz jest konglomenatem różnorodnych eksperymentów architektonicznych.

Nizinna sylweta Gdyni znaczy się na horyzoncie konstrukcjami dźwigów i rysunkiem Kamiennej Góry.

Rozpływająca się architektoniczna sylweta miasta otrzyma wreszcie swój akcent architektoniczny, jakim dla Gdańska jest kościół Marjacki lub Wawel dla Krakowa.

Towarzystwo budowy bazyliki morskiej w Gdyni rozpisało w r. 1930 konkurs na budowę kościoła-pomnika odzyskania morza.

Wartościowym wynikiem rozpisanego konkursu jest praca prof. inż. arch. Bohdana Pniewskiego z Warszawy. Świątynia wznosić się będzie na Kamiennej Górze 115 m. nad poziomem morza, zdala widoczna dla wpływających do portu gdyńskiego żeglarzy.

Smukła, jasno strzelająca ku niebu trzema wieżycami, sylweta, nowoczesna, a jednak związana z duchem tradycji kościoła, rysować się będzie na gdyńskim nieboskłonie, niby symboliczna korona, wieńcząca już dokonane dzieło, czyn młodej polskiej państwowości.

Wiedziony ciekawością zwróciłem się z prośbą do prof. Bohdana Pniewskiego, aby pozwolił przejrzeć mi setki rysunków i dziesiątki modeli projektów budowy tej monumentalnej świątyni.

Oglądając prace prof. Pniewskiego wyczuwam powiew genjalności, w śmiałej, nigdzie nie spotykanej formie architektonicznego charakteru świątyni, przemyślanej z indywidualną głębią.

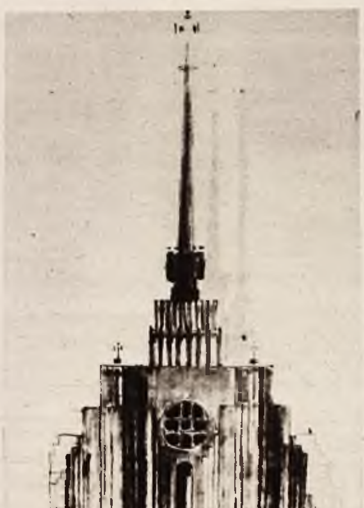
Znakomity nasz architekt, oparłszy się na zdobyczach nowoczesnej techniki żelbetonowej, stworzył z nowego materjału wizję świątyni, łączącej się z duchem najszlachetniejszej tradycji kościelnego budownictwa.

Istota żelbetonu zbliża się do ekspresji gotyckiej swemi konstrukcyjnemi właściwościami. Wskutek używanych w epoce gotyku materjałów panował w jego konstrukcji rozpór boczny w czasie, gdy w nowoczesnej architekturze zwyciężają siły pionowe. Grubość muru, która takim balastem obciążała średniowiecze, przestała dziś być istotną, z powodu nowych statycznych rozwiązań. Gdy dawniej rozwiązanie łuku było wyrazem konstrukcji wewnętrznej, dziś stanowi ono tylko zewnętrzną formę architektonicznego wyrazu.

Łacińska kultura dążyła zawsze do równowagi. To dążenie przebija się i dziś. Jedną z najwybitniejszych cech twórczości arch. Pniewskiego stanowi wprowadzenie rzeźby do nowoczesnej architektury, rzeźby wygnanej przez dotychczasowych nowoczesnych budowniczych. Rzeźba według prof. Pniewskiego, zatrzeć może linearność architektury nowoczesnej i stać się uzupełniającym elementem architektury tak, jak to było w epoce powstania Erechtejonu w Atenach. Współcześni rzeźbiarze zawinili wiele, nie stosując się do wymagań dzisiejszej architektury, która tęskni do niej. Monumentalne gdyńskie dzieło stanie bokiem do morza, skąd widoczne będą trzy wieże, symbolizujące trzy zabory. Bazylika trójnawowa w konstrukcji żelbetonowej, licowana będzie klinkierem.

Między dwoma występami na wejściowej elewacji figura Matki Boskiej, Gwiazdy Morza. Nad wejściem głównem ołtarz dla polowych nabożeństw, umieszczony na wysokości 9.5 m od poziomu placu. Przekrój świątyni oparty na konstrukcji trzech ram ciągłych tworzy bardzo proste rozwiązanie konstrukcyjne. Słupy o przekroju mniejszym przy podstawie ułatwiają największe wyzyskanie powierzchni. Kościół całkowicie otwarty. Korzystając ze spadku naturalnego zaprojektowano w dolnej części kościoła westybul reprezentacyjny, kaplicę dla chrztów i pogrzebów.

Kubatura bazyliki wynosi 62.380 m sześc., weirzch 2.635, plebanji 4.536. Zaprojektowanie kościoła na najwyższem północnem wzniesieniu, orjentuje budowlę osią wzdłużną z południa na północ, umożliwiając w ten sposób największe wykorzystanie powierzchni wzgórza i właściwe usytuowanie placów niższego dla wojska i wyższego dla publiczności. Z placów tych roztacza się przepiękny panoramiczny widok na port i morze. Poszczególne elementy konstrukcyjne wiążą się w harmoninjny rytm, a twórcza fantazja architekty zaciera z pomocą rzeźbiarskich czynników ostrość linearności żelbetonowej konstrukcji.



Front bazyliki morskiej w Gdyni według szkicu inż. Pniewskiego.

Zewnętrze świątyni wypływa jasno z jego wnętrza, o skondensowanych zwartych kształtach.

W celu stonowania światła i stworzenia modlitewnego nastroju, arch. Pniewski użyje witraży, które wykonane będą z szlachetnego materjału. W bazylice gdyńskiej użyte będą barwne witraże o właściwościach i charakterze wzorów z Chartres, czy Sainte Chapelle lub naszego Marjackiego kościoła.

W ten sposób pomyślana przez polskiego budowniczego, bazylika morska stanie się rzadkim dokumentem naszej epoki, świadczącym nietylko o potędze państwowości, ale o wielkiej wartości artystycznej współczesnej naszej architektury. Dodać trzeba, że inż. Pniewski jest laureatem konkursu budowy Sądu grodzkiego w Warszawie, twórcą rekonstrukcji gmachu M. S. Z. w Warszawie i innych.

Budowa gdyńskiej bazyliki dochodzi do skutku dzięki energicznej działalności Towarzystwa Budowy Bazyliki Morskiej, w którego lokalnym zarządzie są dziekan ks. J. Tuszyński, prezes Ryszard Gałczyński, W. Grabowski, A. Wachowiak, M. Berger, konsul N. Korzon, dr. W. Łaba, inż. S. Łęgowski i inni.

Niewątpliwie, iż budowa świątyni, której koszt obliczony na 3.500.000 złotych, dzięki wysiłkom wszystkich obywateli Gdyni, rychło doprowadzoną będzie do końca.

M. Dienstl-Dąbrowa.

CZY CHCE ★ PAN DOŻYĆ 100 lat?



Znana artystka kabaretowa Mistinguett, zwana popularnie „Miss" zachowała do dziś swoistą urodę, a ruchy jej przypominają młodą kobietę.



Król Gustaw szwedzki jest mimo swoich 77 lat równie rześki i zdrów, jak młody człowiek.

Poniżej: B. prezydent republiki francuskiej Gaston Doumergue patrzy z młodzieńczą wiarą w przyszłość.



Poniżej: Prof. Edward Branly jest najstarszym pionierem radja, a przed 45 laty dokonał doniosłego wynalazku, poprzedzającego współczesny detektor radjowy.



Marzenia ludzkości na temat długiego życia i zdrowia są chyba równie stare, jak ona sama. Pod różnemi postaciami, wszędzie i zawsze powtarza się jeden i ten sam motyw przewodni: co czynić, aby dożyć zdrowej i rześkiej starości? Nawet najstarsze legendy opowiadają o tych szczęśliwcach, którym udało się oszukać niejako śmierć i przedłużyć swą wędrówkę na tym świecie. Gdy w końcu XVIII wieku zjawił się na dworach europejskich monarchów słynny hr. de Saint-Germain, twierdzący, że posiada kilkaset lat wieku, to mimo, iż twierdzenie jego brzmiało nieco... dziwnie, uwierzono mu, gdyż chciano mu wierzyć! Jest rzeczą przecież nadwyraz przyjemną zobaczyć na własne oczy człowieka, który zdołał wynaleźć eliksir, oddalający od nas na długi przeciąg czasu fatalną chwilę śmierci.

Na temat długowieczności wiele wygłaszano już teoryj, tworzono program życiowy, mający ją zapewnić, dawano takie i inne wskazówki. Najbardziej jednak chyba przekonywujące będzie to, co powiedzą o swojem życiu właśnie ci ludzie, którzy długowieczność znają nie z teorji, lecz... z praktyki. Wśród dzisiejszych „asów" długowieczności na pierwsze bodajże miejsce wysuwa się 77-letni król Gustaw szwedzki, grający, jak wiemy jeszcze świetnie w tenisa, prof. Edward Branly, mający 91 lat, prezydent republiki francuskiej Doumergue, jeden znajmłodszych wśród starych ,ale bądź co bądź 72-letni i słynna gwiazda kabaretów paryskich Mistinguett, o której wystarczy, gdy powiemy, że... nie jest młoda, podanie dokładnego wieku pozostawimy jej samej!

Z prezydentem Doumergue spotkałem się w jego posiadłości wiejskiej w Tournefeuille. Nie jest rzeczą bynajmniej łatwą otrzymać u niego audjencję, niemniej jednak chwile spędzone z nim nie są interwiewem, lecz miłym odpoczynkiem. Prezydent czuje się zupełnie młody, zdrowie ma świetne, oczy jego rzucają błyski młodego człowieka. Przybrały one wyraz wysoce filuterny, gdy oświadczył mi, że... nie ma mi nic do powiedzenia. Czyżby to był żart, czy też sztuczka dyplomatyczna? W kilka chwil później jednak zgodził się chętnie odpowiedzieć na moje jedyne pytanie:

— Co pan prezydent robi, aby zachować w swoim wieku taką młodość?

— Wstaję i kładę się spać bardzo wcześnie. Od chwil, kiedy opuściłem pałac Elizejski, czas mój rozdzielam między ogrodem a bibljoteką. Przedtem oczywiście musiałem poświęcać dużo czasu na sprawy państwowe, opuściwszy jednak fotel prezydjalny, podjąłem znowu me dawne przyzwyczajenia. Nawet one jednak nie pozbawiły mnie jednej godziny ćwiczeń fizycznych dziennie. Pozatem utrzymuję ścisłą djetę, którą mi przepisał mój lekarz, nie nadużywam niczego, ale też nie pozostaję nigdy bezczynny. We wszelkich okolicznościach życiowych staram się zachować uśmiech na twarzy, stosuję się punktualnie do mojego planu życia, śpię smacznie przez siedem godzin.

Zachować uśmiech na twarzy! Taka mała rzecz, a jednak jak mało ludziom ona się udaje!

Miałem też sposobność pomówić z wiecznie młodą Mistinguett, którą się zwykle przytacza jako wzór młodej starości. Przypominam sobie pewien antrakt w teatrze Folies Bergères, kiedy podczas montowania dekoracyj zwróciłem się do Mistinguett:

— Czy pani pozwoli postawić sobie pewne pytanie odnośnie pani sekretu?

— Jakiego sekretu? — zapytała zdziwiona.

— Sekretu pani młodości.

— Widzę, że pan mnie bierze za osobę żyjącą wspomnieniami! Zresztą mam już dość tego. Zarówno Paul Morand, jak też Clément Vautel wraz z niektórymi innymi przyzwyczaili się uważać mnie za rodzaj starej relikwji! Ja i relikwja! Moja garderobiana może panu pokazać mój akt urodzenia.

— Urodziłam się w r. 1888 i zaczęłam występować bardzo młodo w music hallu. Dlatego też oddawna się o mnie słyszy. Jestem zresztą młodą, młodą ciałem i duszą. Mam świetny apetyt, śpię dobrze, a również wypić lubię. Nigdy się nie gimnastykowałam, gdyż zwykła próba w music hallu starczy za najlepszą gimnastykę. Nie używam nigdy żadnych specjalnych środków ani odmładzających kuracyj, ani też kąpieli z mleka. Piję najchętniej szampana. Zresztą nie lubię alkoholu. Tajemnicą mojej młodości jest to, że kocham ponad wszystko życie!

Innym znów razem udałem się do Instytutu Katolickiego, gdzie miałem spotkać się z prof. Edwardem Branly. Spotkałem go przechodzącegi przez jezdnię, opartego o dwie laski.

— Dlaczego pan profesor używa dwóch lasek, idąc przez jezdnię, podczas gdy na trotuarze podpiera się tylko jedną? — zapytałem go.

— Widzi pan, to jest tylko sposób na automobilistów — odparł uśmiechając się staruszek, gdyż wtedy więcej uważają na przechodzącego starca.

— Wyrażenie to, profesorze, śmiesznie brzmi w pańskich ustach, gdyż nie wycofał się pan nawet ze swojej pracy naukowej...

— Owszem, wycofam się, gdy się postarzeję. Może jak będę miał 100 lat, a może później! Nieraz mi mówią, że powinienem pomyśleć o śmierci — uważam jednak, że można z tem zaczekać i pracuję dalej po 14 godzin dziennie. jedząc śniadanie w Instytucie, aby nie tracić czasu.

— Jakiż pan posiada sposób, aby dożyć tak długiego wieku?

— Uważam na siebie. Mało jem, raz tylko dziennie obfitszy obiad w południe. a rano i wieczorem tylko coś bardzo lekkiego. Bardzo chętnie pijam szklankę wina z wodą, gdyż wino oczyszcza organizm.

Pożegnawszy słynnego uczonego, przyglądam mu się jeszcze chwilę z boku i stwierdzam, że naprawdę ma ruchy... młodzika!

Trudniej było z interviewem u króla Gustawa szwedzkiego, gdyż trzeba się o to starać u szambelana, pełniącego służbę i mieć polecający list swego ambasadora. Udało mi się jednak mówić z nim podczas jednej z jego podróży na korcie tenisowym. Na moje pytanie, jakim jest sekret jego młodości, odparł uprzejmie:

— Sekret ten jest bardzo prosty. Od małego dziecka uprawiam sporty, najchętniej tenis i polowanie. W Sztokholmie założyłem „Idrotts Club", t. j. klub sportowy. Pomimo bardzo krótkiego wzroku ,który mnie zmusza do noszenia dwóch nieraz par szkieł, zdołałem odnieść szereg zwycięstw na korcie tenisowym. Uważam sport za najlepszy środek zachowania młodości i cała moja rodzina również go uprawia. Żyję bardzo skromnie, mało jadam. Nigdy nie stosowałem żadnych odmładzających kuracyj.

Jego Królewska Mość Gustaw V, potomek marszałka Bernadotte'a, księcia de Ponte Corvo ściska mi tak silnie rękę, że nie potrzebuje zapewniać mnie o swej młodości!

Armand Avronsart.

MIASTO LAGUN.

Jak Wencja, „królowa mórz", jest jedynem w swym rodzaju na świecie miastem, tak świeżo otwarta autostrada, jest jedynem w swym rodzaju przedsięwzięciem. Należy też ją zaliczyć do najpiękniejszych i najśmielszych dzieł dzisiejszego rządu faszystowskiego, który ma zawsze na celu tak zapewnienie pracy bezrobotnym, jak i tworzenie olbrzymich, pomnikowych, a użytecznych urządzeń. Obliczone są też na rozwój turystyki, tego tak niesłychanie ważnego źródła dochodów państwowych i prywatnych.

Rząd austrjacki, który jak wiadomo, na mocy Kongresu Wiedeńskiego objął Wenecję, a dzierżył ją do r. 1866, już 11 stycznia r. 1846, oddał do użytku most kolejowy, zbudowany poprzez laguny, na przestrzeni 4 kilometrów, łączący Wenecję z nadbrzeżnem miasteczkiem Mestre. Długo jeszcze przed wynalezieniem samochodów, a zwłaszcza w latach 1871 i 1890 . podnoszono projekty zbudowania równoległego do kolejowego mostu, dla pojazdów. Projekty te jednak nie dochodziły do urzeczywistnienia wobec sprzeciwów ze strony głównie literatów i artystów. Bronili oni zdania, że Wenecja straciłaby swą oryginalność wyspiarskości i swą do pewnego stopnia niedostępność. Bo jakże można było dopuścić konne pojazdy do miasta, w którem niema ani jednego żywego konia!? Sprzeciwiali się też wszyscy właściciele łodzi i okręcików parowych, żyjący z przewozu gości z Wenecji na wybrzeże. Jeżeli dochodziła kolej, powinny były jednak dochodzić i samochody.

Po wojnie niesłychanie rozwinął się ruch samochodowy, zwłaszcza w Italji i ogromnie wzrosła liczba turystów, przyjeżdżających z zagranicy samochodami. Przeważnie omijali oni Wenecję, gdyż pozostawianie samochodów na wybrzeżu w Mestre nie było wygodne. Przy rozwoju miasta koniecznem się stało wygodniejsze połączenie z wybrzeżem, dla szybszego przewozu środków żywności, węgla, drzewa i t. d. Przed dziesięcioma laty powstał przed Mestre, od strony Wenecji ogromny port Marghera dla przeładowywania towarów, przewożonych okrętami przez Wenecję.



Nowy most kamienny, wzniesiony obok dworca kolejowego na miejscu dawnego żelaznego na Canale Grande. W głębi kościól San Simone.



Most samochodowy poprzez laguny, zwany Ponte Littorio. Na słupach umieszczono lwy weneckie, na pamiątkę zniszczonych w czasie walk politycznych emblematów w Trogirze w Dalmacji.



Olbrzymi garaż na końcu Ponte Littorio przy Piazzale Roma.



Nowy, krzyżujący się most w dzielnicy weneckiej Tolentini.

Wszystko to skłoniło zarząd miasta Wenecji w r. 1930 do postanowienia budowy autostrady, równoległej do mostu kolejowego. Wygotowanie planów i przeprowadzenie dzieła powierzono inżynierowi Eugenio Miozzi, który niedawno zdał dokładne sprawozdanie w medjolańskim dwutygodniku „Sapere".

Prace zaczęto 7 lipca 1931. W Mestre zaczęto autostradę od wiaduktu wzniesionego w r. 1913 ponad licznemi linjami kolejowemi, a dalej na przestrzeni 4 kilometrów poprowadzono ją po moście, 22 m. szerokim, złożonym z 228 przęseł z żelazobetonu, z dodatkiem cegieł i kamienia białego z Istrji, tego samego, który służył od wieków do budowy przecudnych weneckich pałaców. Ponieważ poziom wody na lagunach niewiele tylko się zmienia. więc i pomost niezbyt zrobiono wysoki, a jedynie nad Canale Grande, dla umożliwienia przejazdu parowców, znacznie go podwyższono przy moście dwuprzęsłowym. Od wiaduktu w Mestre, aż prawie do dworca kolejowego w Wenecji, zwanego Santa Lucia, pomost dotyka pomostu kolejowego.

Środkiem niezwykle szerokiego toru asfaltowego biegną w obydwóch kierunkach samochody, bokami przejeżdżają autobusy poruszane elektrycznością, z prądem dochodzącym podobnie jak w tramwajach elektrycznych, a na samych krajach są dróżki trzymetrowej szerokości, 'dla rowerzystów i dla pieszych.

Ruch w obie strony jest olbrzymi, bo Mestre w ostatnich latach bardzo się rozwinęło i uprzemysłowiło, a wielu ludzi pracujących tam, mieszka w Wenecji, jak i naodwrót.

Autostrada przebiega ponad Canale Grande, czyli ponad głównym, najszerszym kanałem w Wenecji, zakreślającym kształt głoski S i niedaleko stacji kolejowej przemienia się w obszerny plac, Piazzale Roma, obejmujący 1500 metrów kwadratowych. Stąd jedna droga prowadzi do tej stacji, a druga do olbrzymiego garażu sześciopiętrowego, mogącego pomieścić 900 samochodów, a wedle projektu rozbudowy, w przyszłości 1800 samochodów. W jednym z narożników tego oszklonego olbrzyma, wygodna serpentyna prowadzi na piętra. Na Piazzale pod garaż obrano miejsce, gdzie nie było większych zabytkowych domów i które można było rozebrać bez szkody.

Canale Grande zakreśla największy łuk w części od stacji kolejowej, aż do miejsca poza sławny most Rialto. Aby skrócić tę nazbyt długą i zanadto uczęszczaną drogę wodną, mającą 3.300 metrów, zrobiono nowy kanał od Piazzale Roma tak, że po przeładowaniu towarów ze samochodów, w stronę głównego Basenu św. Marka, parowce i łodzie motorowe jadą wygodnie, przebywając zamiast 2400 metrów, tylko 700. Ten nowy kanał Rio Nuovo powstał częścią przez rozszerzenie dawnych kanałów, częścią przez zburzenie domów, które w tej właśnie dzielnicy też nie przedstawiały większej wartości artystycznej. Wzniesiono nad nim siedem mostów kamiennych z żelazobetonowem wnętrzem, wzorowanych na skromnych, a pięknych tutejszych dawnych mostach.

Do niedawna jeszcze uderzał wjeżdżającego koleją do Wenecji, zaraz obok dworca na Canale Grande, widok brzydkiego żelaznego mostu, sprzecznego z charakterem wszystkich zabytków. Świeżo zmieniono go na skromny, a piękny kamienny most. Ciekawy, krzyżujący się most wzniesiono w dzielnicy Tolentini, przy nowym kanale.

Aby przedstawić ogrom całego dzieła, należy wyjaśnić, że całość autostrady, wraz z mostami i wiaduktami ma 10 kilometrów. Koszty wynosiły 8 miljonów lir, czyli naszych złotych 3 miljony 360 tysięcy, a u nas, przy droższym materjale i robotniku, byłyby bez porównania wyższe. Pracowało dziennie po 4.600 robotników, przez 550 dni. Używano siły elektrycznej o napięciu 6.600 wolt, rozłożonej przez sześć transformatorów. Użyto 20.000 metrów kwadratowych wapna i gipsu, 20 miljonów cegieł, i 45 tonn kamieni. Słupów żelazobetonowych postawiono razem wziętych na długość aż 275 kilometrów. Ponieważ woda na lagunach jest spokojna, więc drewniane rusztowania przęseł można było ustawiać na barkach, używanych do przewożenia ciężarów.

Jak niegdyś na budowlach i mostach umieszczano rzeźbione w marmurze herby ich twórców, tak dziś dano tu herby włoskiego królestwa i liktorskie fasces, herby faszystowskie, a braknąć nie mogło również i weneckich lwów skrzydlatych św. Marka. Wyrzeźbiono je na pilotach, na początku drogi, takie właśnie, jakie niedawno w Trau, czyli Trogirze w Dalmacji zniszczyli przeciwnicy Italji i to z odpowiedniemi napisami, żeby były wiecznemi świadkami tego wielkiego dzieła rządu faszystowskiego w Wenecji.

Ks. Dr. T. Pomian Kruszyński.

ZADUMA SPIŻU. — Na dawną stolicę królów polskich spogląda z murów wawelskich spiżowa armata, wypatrując



„ZIÓŁKA“

POLITYCZNE W KARYKATURZE.







Hugh Gibson, znany amerykański mąż stanu, przypomina złośliwą chimerę.

B. premjer Herriot jest wcale „pokaźną“ lilją!

Nawet jako kwiat Bernard Shaw zdaje się krytycznie zapatrywać na otoczenie.

Poniżej: Agę Khana można przynajmniej w Europie zaliczyć do egzotycznych kwiatów.

Poniżej: Hitler należy bezwątpienia do najciekawszych „kwiatów“ na „polu“ współczesnej polityki.

Poniżej: Płatki maku są dla Gandhiego aż nadto wystarczającem okryciem!

Poniżej: Chociaż zamieniony w różę de Valera wygląda jakby chciał zrobić nową rewolucję.











Mało jest dziedzin równie nadających się do karykatury jak polityka, to też stanowi ona ulubiony temat karykaturzystów. Jeden z najbardziej znanych artystów angielskich, Michael Lorant, sportretował najciekawsze postacie polityki europejskiej, jak również literatury i towarzystwa angielskiego i ukazuje je nam jako kwiaty, które w wielu wypadkach musimy nazwać poprostu... „ziółkami!“ Takiem ziółkiem jest naprzykład „przyjaciel nasz“ Lloyd George i jego rodzina, będąca również jak on czynną na forum Izby Gmin. Umieszczenie jej na łodygach mlecza, zwanego też „stałością męską“, nie jest pozbawione pewnej pikanterji. Ale znajdziemy ją też w pozostałych rysunkach.

Na lewo: Pomimo dobrodusznej miny, nie należy sprytnemu Walijczykowi Lloyd George'owi zbytnio ufać.

KSIĄŻĘ z „trente-et-quarante"

Powieść Williama J. Makina. 22 Tłumaczenie autoryzowane Jana Maleszewskiego.

ILUSTROWAŁ J. M. BRZESKI

— Przypuszczają, że jesteśmy tutaj na to, aby tropić przemytników, dlatego też nikt nie odważa się pokazać na brzegu.

— Rozumiem — odparł, wysłuchawszy wskazówek swego przełożonego porucznik Mont.

— No to idź już, a ja tymczasem z Simonitzem będziemy pilnować naszego dostojnego więźnia.

Ukłoniwszy się po wojskowemu pułkownikowi, Mont znikł za drzwiami. Za chwilę obaj wojskowi widzieli sylwetkę oddalającego się porucznika przez okno pokoju, w którym smacznie spał Sergjusz Łobanow.

Na pobliskiem krześle pułkownik położył rewolwer, aby mieć go w każdej chwili w pogotowiu. Podczas gdy Sass rozlokował się wygodnie na swoim fotelu, porucznik Simonitz zajął miejsce w kącie jego, przygotowując się do długiego czekania na obudzenie się Artura. Zapaliwszy papierosy obaj mężczyźni w milczeniu przyglądali się śpiącemu. Wkrótce w pokoju zapanowała cisza, w którą raz po raz tylko wdzierał się daleki szum morza, oraz ciężki oddech Artura.

ROZDZIAŁ XXXI.

Porucznik Mont nie wraca.

— Już trzy godziny przeszły, — zamruczał pułkownik, patrząc się na swój zegarek, który nosił na ręku. — Co do djabła mogło się stać temu Montowi?

Simonitz wstał ze swego krzesła, aby nieco wyprostować nogi, przyczem przełożył rewolwer z prawej ręki do lewej.

— Czy pan myśli, panie pułkowniku, że Mont poprostu... uciekł?

Pułkownik w zamyśleniu podrapał się po głowie.

— Nie śmiałby tego uczynić, ryzykując więcej jak swe życie.

— Może pan ma rację, pułkowniku. Mówiłem z Montem niedawno temu i...

— No i co?

— Nie jest takim republikaninem, jakimby mogło się zdawać.

Pułkownik zmarszczył brwi, wkrótce jednak uśmiechnął się.

— Póki nie jest z przekonania rojalistą, poglądy jego mnie nie obchodzą— odparł.

— Więc pan nie przypuszcza, panie pułkowniku, że Mont nas opuścił? — pytał Simonitz przyciszonym głosem.

Zapytany potrząsnął głową.

— Nie, ja znam Monta — ciągnął dalej pułkownik refleksje na temat swego podwładnego. — Znam też jego rodzinę, służy on w wojsku jedynie dla karjery, a przecież w Korawji najłatwiej zrobić karjerę polityczną służąc w wojsku. Mont jest politykiem i wierzę w niego. Gotów bym własnem życiem za niego zaręczyć.

— Tak... ale do wsi idzie się jedynie pół godziny, tymczasem porucznik Mont opuścił nas już trzy godziny temu. Coś musiało mu się wydarzyć w drodze — zauważył porucznik Simonitz.

Pułkownik zrobił niezdecydowany ruch ręką.

— Możemy tylko zaczekać!

Znowu milczenie ogarnęło pokój. Śpiący człowiek leżał spokojnie jakgdyby był nieżywy a jedynie regularny i nieco hałaśliwy oddech dawał znać, że książę Korawji żyje naprawdę.

Przechodziły minuty i kwadranse. I ciągle nie było słychać charakterystycznego skrzypienia piasku, który oznajmiał, że ktoś idzie przez ogród. Pułkownik począł się denerwować coraz bardziej. Wkońcu porozumiawszy się spojrzeniem z porucznikiem Simonitz, otworzył drzwi pokoju i wyszedł przed dom. Zaczął się przechadzać nerwowym krokiem po ławicach piasku wpatrując się w szare morze i rozglądając się naokoło, ale nigdzie nie mógł zauważyć czegokolwiek, coby znamionowało zbliżanie się porucznika. Tylko na niebie unosiły się z charakterystycznym krzykiem mewy, które zdawały się czegoś szukać.

— Czy pan pułkownik zauważył coś? — zapytał Simonitz.

— Żadnego śladu, wpadł jak kamień w wodę.

Lecz cóż mogło wydarzyć się temu dzielnemu i odważnemu oficerowi? Pułkownik przechodził myślą wszystkie możliwości nieszczęśliwego wypadku. Przecież miał tylko kupić zapasy spożywcze we wsi i zadzwonić następnie do ambasady korawjańskiej w Londynie z zawiadomieniem, że książę Sergjusz znajduje się w ich ręku. Nic więcej! A przecież w dodatku Scotland Yard pilnował szczegółowo tę okolicę. Zdawałoby się więc, że właściwie niema zbytniego niebezpieczeństwa. A czyżby było możliwem, żeby Mont zbiegł, jak to poddawał porucznik Simonitz?

Cisza panująca w tym tajemniczym domu wzmagała się z minuty na minutę. Słychać było coraz silniej tykanie zegarka, na który pułkownik od czasu do czasu patrzał ze wzrastającem zdenerwowaniem.

— Już w pół do pierwszej! — wykrzyknął w końcu.

Jeszcze nie skończył mówić, gdy dał się słyszeć dzwonek telefonu. Przypominał on, jakby wpadającą do cichego domu bombę. Dzwonek coraz silniej hałasował i obaj mężczyźni zerwali się z krzeseł.

— Dzwoni telefon! — wykrzyknął Simonitz.

— Oczywiście, że telefon — potwierdził zniecierpliwiony pułkownik. Ale gdzie on jest do licha? Nie widziałem tutaj żadnego aparatu!

— Ja też nie — zawtórował towarzysz jego.

— Trzeba go znaleźć! — zakomenderował Sass.

Głos dzwonka robił wrażenie, jakgdyby dochodził z jakiejś czeluści, czy zamkniętego miejsca. Ciągłe dzwonienie coraz bardziej zaczęło denerwować obu mężczyzn, a nawet śpiący Artur poruszył się na swojem posłaniu.

Wstał ze swego improwizowanego łoża i począł się rozglądać po pokoju.

— Telefon dzwoni, nie słyszycie? — zauważył ziewając i przeciągając się z zadowoleniem.

Spojrzawszy na swoich dwóch „opiekunów" cała sytuacja stała się dla niego jasną.

Wnet jednak pułkownik przypomniał sobie treść owej kartki Marka Manna, którą agenci jego zdołali pochwycić.

— Że ja o tem mogłem zapomnieć! — wykrzyknął uderzając się dłonią w czoło. — Przecież telefon znajduje się w szafie! Simonitz, poszukaj go, ja tymczasem zajmę się naszym dostojnym gościem.

— Rozkaz, pułkowniku!

Idąc za hałasem porucznik odkrył w kącie pokoju starą małą komodę, która jakkolwiek była zam-

knięta posiadała klucz umożliwiający otwarcie. — Otworzywszy ją, Simonitz podniósł słuchawkę i zaczął słuchać słów, dochodzących go po drucie telefonicznym. Nie wiedząc jednak czy ma odpowiadać popatrzył się pytająco na pułkownika.

— Mów z nim, oczywiście — mruknął przyciszonym głosem pułkownik.

— Hallo! Hallo! Słucham!

Simonitz przyłożywszy rękę do słuchawki zwrócił się znów do swego przełożonego.

— Ktoś pyta się o pułkownika Sass!

— To zapewne Mont! — odrzekł pułkownik.

— Nie, ktoś inny!

— Jest pan tego zupełnie pewien? — pytał Sass.

— Najzupełniej, pułkowniku!

W oczach pułkownika zjawił się błysk złości.

— Trzymaj rewolwer w pogotowiu i uważaj na księcia — rozkazał — gdyby chciał się oddalić, strzelaj bez pardonu.

Chesham słysząc te słowa uśmiechnął się ironicznie.

— Przecież dałem panu, pułkowniku, słowo honoru, że nie ucieknę przed podwieczorkiem. Ale à propos, kiedy będzie podwieczorek?



...pułkownik podszedł do telefonu...

Nie słuchając słów Artura, pułkownik podszedł do telefonu, Simonitz natomiast trzymając rewolwer w ręku, zajął jego miejsce.

— Kto mówi? — pytał opiekun Artura.

Jakiś głos, robiący wrażenie wielgo spokoju odparł:

— Chciałem mówić z pułkownikiem Sass!

Wezwany zastanowił się chwilę, nie poznawał bowiem głosu.

— Jestem przy telefonie!

— A, to świetnie — dała się słyszeć odpowiedź. — Przypuszczałem, że pan jest nieco zaniepokojony losem porucznika Monta. —

— Tak?

Mimo, że starał się nad sobą zapanować, nie mógł zmusić swego głosu do zachowania zupełnego spokoju. Brzmiał on nerwowo, urywanie.

— Porucznik Mont jest w tej chwili jeńcem naszym!

— Jeńcem? Czyim?

— Rojalistycznej Partji Korawji. Mam zaszczyt poinformować pana, pułkowniku Sass, że przewrót mający na celu wznowienie monarchji i oddanie tronu księciu Sergjuszowi właśnie się rozpoczął.

Słysząc te słowa pułkownik poczerwieniał nagle na twarzy.

— Niech pan mi pozwoli zauważyć, — zaczął zmienionym ze złości głosem, — że wasza rewolucja popełnia błąd w samym zarodku. Gdzież bowiem jest wasz kierownik?

Ściszony śmiech był jedyną odpowiedzią.

– Wiemy, że w tej chwili korzysta on z pańskiej gościnności, pułkowniku. Wiemy też, że jest ona nieco przymusowa. Chciałem panu zakomunikować przy tej sposobności, że dom, z którego pan mówi ze mną telefonem jest zewsząd otoczony. Znajdujecie się pod strażą, która rozciąga się na całą okolicę. Dlatego też jeżeli do godziny 6-tej książę Sergjusz nie opuści zupełnie nieprzymuszony i bez jakiejkolwiek straży z waszej strony tego domu, będziecie musieli ponieść wszelkie konsekwencje. Nadmienię przytem, pułkowniku, że konsekwencje te równają się śmierci.

Pułkownik Sass przysłuchiwał się w ciągle zmieniającym się nastroju rozkazującemu głosowi, który robił wrażenie, że pochodzi od człowieka zupełnie przekonanego o zwycięstwie. Lecz gdzież byli wkońcu ci rojaliści, którzy śmieli tak pokrzyżować jego plany? Wiadomość o pojmaniu porucznika Monta była dla Sassa ciężkim ciosem, lecz mimo to zastanawiał się, czy przeciwnicy jego naprawdę posiadali tę władzę, o jakiej mówili. Przypuszczał mimo wszystko, że część usłyszanych wiadomości była tylko zwykłym bluffem. Postanowił więc odpłacać im pięknem za nadobne.

— Do djabła z waszą rewolucją! — krzyknął wściekły w tubę telefonu. — Książę znajduje się w moich rękach i nie mam bynajmniej zamiaru go oddać!

— Świetnie, — dał się znowu słyszeć głos. W takim razie nie mamy o czem mówić! Au revoir, pułkowniku!

Lekki trzask wskazywał, że rozmowa się skończyła.

Pułkownik błędnym wzrokiem zaczął się rozglądać dokoła, natomiast Simonitz, chociaż w dalszym ciągu trzymał w ręku rewolwer pilnując Sergjusza, zapomniał zupełnie o swojej roli, przysłuchując się z ciągle wzrastającem zainteresowaniem rozmowie pułkownika. Ale też i sam więzień bacznie zwracał na nią uwagę. Jakaś nieokreślona nadzieja zaczęła się budzić w jego sercu, że może klub Piratów zainteresował się jego losem i oto przychodzi mu z pomocą.

Odłożywszy słuchawkę pułkownik Sass zaczął w języku dla Artura nieznanym rozmawiać nerwowo ze swoim podwładnym. Powtarzał Simonitzowi każde słowo swej dziwnej rozmowy, komentując ją nerwowo.

— ...a jednak dostali w swoje ręce Monta — zakonkludował pułkownik. A po chwili dodał: — mogą naprawdę otoczyć naszą willę i odbić nam księcia!

Porucznik Simonitz po dłuższym namyśle oświadczył:

— Mojem zdaniem, panie pułkowniku, należałoby natychmiast zatelefonować do ambasadora. Miejmy nadzieję, że jego ekscelencja nietylko będzie nam mógł coś poradzić, ale też pomóc.

— Świetna myśl, poruczniku! — Oczy pułkownika Sassa błysnęły nadzieją.

Podszedłszy do telefonu zdjął słuchawkę i czekał aż zgłosi się poczta. Lecz żaden głos nie dał się słyszeć, a mimo kilkakrotnego dzwonienia telefon pozostawał głuchy.

— Te djabły poprzecinały druty telefoniczne, — krzyknął.

— Jesteśmy więc zupełnie odcięci od świata, — rzekł z smutnym uśmiechem porucznik Simonitz.

Kładąc słuchawkę telefonu na widełki wzrok pułkownika zatrzymał się na skrzynce, na której wmontowane były dwa guziki. Z łatwością dorozumiał się, że jest to aparat radjowy i z prawdziwą radością zaczął manipulować koło niego. Wkrótce w pokoju zadźwięczały tony jakiejś miłej muzyki.

— Więc jednak nie jesteśmy odcięci od świata — stwierdził. — Mamy przecież radjo.

Nie skończył jeszcze mówić, gdy dały się z aparatu słyszeć słowa: „Usłyszycie państwo teraz lekką muzykę z teatru Commodore. Orkiestra wykona utwór p. t. „Uśmiechnij się choć na chwilę".

Wkrótce jakaś skoczna melodja napełniła pokój. Przysłuchiwał się jej leżący na swojem posłaniu książę Korawji, pułkownik Sass i porucznik Simonitz. Każdy z nich śledził takty muzyki w innym nastroju.

ROZDZIAŁ XXXII.

Wyrok śmierci.

— Bluff! Nic innego tylko zwykły bluff! — oświadczył wkońcu pułkownik po dłuższej chwili. Porucznik, który również chciał dodać sobie otuchy, potwierdził słowa swego przełożonego. Dolatujący zdala szum morza, widok na ogromne ławice piaskowe, otaczające willę, a wkońcu ta muzyka taneczna, będąca jedynym namacalnym niejako objawem życia, tworzyły całość ujawniającą jeszcze bardziej samotność tego domu i nad wyraz przykrą sytuację obu Korawjańczyków, którzy znaleźli się sami w potrzasku. Chociaż posiadali rewolwery, któremi mogli się posługiwać w każdej chwili, to jedyną osobą, będącą w danej chwili pewną siebie, był więzień, spoczywający na kanapie.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Oto kilka pięknych nowoczesnych krawatów o różnych wzorach.

JEDWABNY ŻYWOT KRAWATKI

Pewnego razu król Edward VII we foyer paryskiej Opery zbliżył się do jednego nieznajomego i własnemi królewskiemi rękami poprawił mu węzeł krawata, mówiąc: „Nie mogę patrzeć na źle zawiązaną krawatkę". Anegdotę tę przyniosły swego czasu pisma paryskie jako dowód poczucia elegancji u króla.

Mało tylko ludzi zdaje sobie z tego sprawę, że prawdziwa, wytworna i „kulturalna" elegancja jest bezwątpienia wypływem artystycznych zamiłowań człowieka. Nie mówię oczywiście tutaj o przesadnych snobach i „gogusiach".

W tem ciekawem królestwie mody, poddanem ciągłym przewrotom i rewolucjom, jedną z wybitniejszych ról gra bezwątpienia krawatka. Krawat, albo krawatka, jak ją nieraz nazywano przed wojną, wyrobiła się dopiero w początkach XIX. wieku. Rodowód swój wywodzi ona z żabotu, t. j. plisowanego i nieraz misternie ułożonego gorsu, noszonego w XVIII. wieku, a składającego się z licznych koronek, spiętych kosztowną często agrafą brylantową. Te ozdoby piersi męskiej nazywano w Polsce również „fontaziami", t. j. słowem, jakie „zgrubsza" przypomina nazwisko osoby, która wprowadziła tę modę, a mianowicie panny de Fontanges, kochanki Ludwika XV. Żabot miał swe odpowiedniki w koronkach u rękawów, noszonych nawet przy mundurze. Musiał się on odznaczać nietylko nienaganną bielą, ale również cienkością płótna. Gdy „ancien régime" padł pod razami paryskiego ludu i zaczęto tworzyć nowy światopogląd — odbiło się to przedewszystkiem na modzie, w której wprowadzono na miejsce koronek zwykły „halsztuk", t. j. naokoło szyi ułożoną materję, stanowiącą równocześnie kołnierz. Wiązanie tego halsztuka było nielada sztuką i ważnym momentem w tualecie eleganta. Powoli halsztuk rewolucyjny przyjmuje się w całej Europie i stanowi on dla najsławniejszego eleganta w początkach XIX. wieku, Jerzego Bryan Brummell, Esq. jeden tytuł więcej do jego europejskiej sławy. Nikt bowiem nie umie tak wspaniale wiązać halsztuka, jak właśnie on. Wprowadza on nieznane dotąd materje, muśliny, nieco cięższe od dotychczas używanych, które jednak pozwalają zawiązać węzeł w sposób znacznie piękniejszy. Nieraz ówczesny książę Walji, a późniejszy król Jerzy IV. asystuje przy wiązaniu tego węzła, o którym naówczas mówiono z takiem zainteresowaniem, jak w starożytności o węźle gordyjskim. Kołnierze noszono wtedy nad wyraz wysokie, dochodzące do wysokości 1 stopy, a prawdziwy elegant tonął niejako aż po samą brodę w misternie związanym halsztuku. Po pewnym czasie zauważono niepraktyczność halsztuka i zaczęto kontentować się jedynie kołnierzem, okolonym już tylko cieniem halsztuka, tj. krawatem. Metamorfoza ta nastąpiła w pierwszej połowie XIX wieku, chociaż jeszcze w czasie Kongresu Wiedeńskiego większość ludzi, należących do sfer uprzywilejowanych, nosiła chętnie dawne koronki.

Ówczesne krawaty pozbawione były wszelkiego uroku i przypominały raczej kompresy na gardło. Powoli tylko z brzydkiej poczwarki, jaką był krawat w latach 1830 do 1870, przedzierżgnął się w wytwornego i barwnego motyla, jakim widzimy go dzisiaj.

W końcu XIX. wieku krawat nabiera na barwności, zmienia swą postać i konwencjonalny krój ustępuje miejsca fantazyjnym kreacjom. Odznacza się on w tym czasie wielkim formatem, ulubione wzory stanowią kwiatki, kółka, kropki, różne linje i wężyki. Wiązanie krawata ówczesnego również było odmienne od dzisiejszego: zakładano jeden koniec na drugi i spinano często dużą, jak na dzisitjszy gust, brzydką szpilką.

Dopiero XX. wiek przyniósł krawatowi korzystne warunki rozwoju. W dziedzinie tej odznaczyło się kilku elegantów, a przedewszystkiem król Edward VII, p. Duval, właściciel licznych paryskich restauracyj swego imienia, markiz Bonifacy de Castellane i kilku innych.

Wobec znacznego poszarzenia stroju męskiego, moda, chcąc nie chcąc, musi mieć w odwodzie kilka barwnych szczegółów, któremi może go ożywić. Ta rola przypadła też krawatowi i kamizelce. Mężczyzna, umiejący naprawdę tworzyć w zakresie mody oryginalne pomysły, posługuje się krawatem nietylko celem urozmaicenia swego stroju, ale również celem podkreślenia okoliczności, w jakich wypadnie mu się znaleźć. Szary garnitur np. można ożywić krawatem, ale można też nadać mu cechę powagi. Krawat włóczkowy, lub zrobiony z bardzo lekkiego materjału, dodaje strojowi męskiemu pewien odcień sportowy, gdy natomiast poważniejszy, w tonach ciemnych, spięty drobną perłą, dodaje charakteru oficjalnego. — Istnieje dzisiaj ogromna różnorodność krawatów nietylko, jeżeli chodzi o wzory i gust, ale również co do materjałów, z których są zrobione. Bardzo modne i chętnie noszone są krawatki o jasnych kolorach, posiadające wzory niesymetryczne i żywe. Są to krawaty, nadające się do stroju sportowego.

Ważnym momentem w omawianej przez nas dziedzinie stanowi t. zw. „muszka" lub „motylek". U nas w Polsce nosi się ją przeważnie jako mniej oficjalną odmianę krawata, co jednak jest regionalizmem, gdyż, jak wiadomo, w Anglji np. i we Francji panowie wkładają muszkę do wykładanego sztywnego kołnierzyła i do... żakieta. Oczywiście, że musi ona być wtedy o spokojnym wzorze, żywsza w kolorze, lecz nie krzycząca.

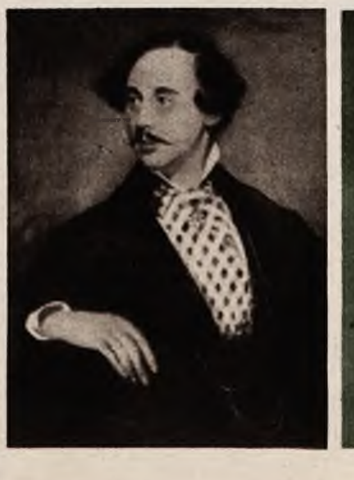
Trudno byłoby ustalić pewne wytyczne co do krawata, gdyż tu decydować musi własny gust. W każdym razie istnieją pewne „kanony", których nie można pomijać. Krawat powinien być nie skompletowaniem w kolorze ubrania, lecz przeciwnie urozmaiceniem jego, to też do brązowego np. ubrania nie powinno się dobierać krawata o identycznym kolorze. Jeżeli chodzi o wzory, to nie powinny one być zbyt fantastyczne, a już zupełnie źle widziane są różne kwiaty i t. p. wzory.

Jan Maleszewski.

Wiek XVIII. — Żabot koronkowy był jednym z najozdobniejszych szczegółów stroju owoczesnego i nawet król Stanisław August nosił go przy generalskim mundurze.



Wiek XIX. — Krawaty naszych dziadków przypominały jeszcze nieco żabot i były dosyć dziwaczne, jak to widzimy na portrecie Dickensa.



Wiek XX. — Margrabia Boni de Castellane był zwolennikiem żywych w kolorze krawatów, noszonych do żakietu, a dodających strojowi dużo uroku i elegancji.



NASZE JAGODY

SZYBKI SPOSÓB GOTOWANIA KOMPOTÓW NA KONSERWY

Na 3 kg owocu gotuje się 1 kg cukru z litrem wody na gęsty syrop, który się pilnie szumuje.

Na gotujący syrop wsypuje się po trosze oczyszczony owoc. Gdy syrop tylko raz zawsze zanim owoc popęka wyjmuje się go szybko durszlakową łyżką do naczynia, w którem kompot ma być przechowany, wrzuca na cukier dalszą partję owocu i t. d.

Gdy wszystkie owoce są w ten sposób ugotowane, dodaje się do syropu pół łyżeczki salmiaku (kwas salicylowy acidum salicilicum) i gotuje syrop dalej, aż nabierze gęstości pierwszego stopnia t. j. gdy kropla wzięta między dwa palce ciągnie krótką nitkę.

Wtedy zalewa się gorący syrop na owoce, zawiązuje zaraz pergaminem i odstawia w suche a chłodne miejsce.

Do jagód, które się kupuje na litry dodaje się cukru w proporcji: na 6 litrów jagód 1 kg cukru.

Zapewniano nas, że sposób ten jest niezawodny — owoce zachowują swój pełny aromat przez całą zimę.



Radosny zbiór wiśni w swoim ogródku.



Szczepione agresty dają dorodny duży owoc.

W Zakopanem dojrzewają teraz smaczne truskawki.





Ostrężnice, świetne jagody naszych lasów.



Czereśnie, agrest i porzeczki, to smaczny podwieczorek.

Życie towarzyskie i artystyczne

JAN KIEPURA PRZED WYJAZDEM DO AMERYKI



Wkrótce wielki nasz rodak, Jan Kiepura, uda się do Stanów Zjednoczonych na pokładzie okrętu „l'Ile de France". Oczekują go z tem większą niecierpliwością, że Jan Kiepura wystąpi w pierwszym swoim amerykańskim filmie „Pieśń Nilu" pod reżyserją słynnego Ernesta Lubitscha. — Przed wyjazdem do Nowego Świata słynny tenor zawitał do Krakowa. Współpracownikowi „I. K. C." mistrz Kiepura oświadczył, że ukończył właśnie niemiecką i francuską wersję swego filmu „Kocham wszystkie kobiety", w którym występuje w podwójnej roli. Na zdjęciu Jan Kiepura z współpracownikami „I. K. C." na plantach krakowskich.

ZGON WIELKIEGO LITERATA

Ostatnio zmarł George Russell, jeden z najbardziej znanych irlandzkich autorów. Najlepszem jego dziełem jest „Dom tytanów", tłumaczone na liczne języki.



„TO LUBIĄ KOBIETY" W TEATRZE POZNAŃSKIM



Wielkiem powodzeniem cieszy się obecnie w Poznaniu farsa muzyczna Arnolda i Bacha w adaptacji Drabika. Muzyka kompozycji Waltera Kollo jest pełna werwy i uroku. Główne role gra para amantów Barbara Ludwiżanka w roli artystki filmowej i Pluciński w roli narzeczonego jej Borna. Oprawę dekoracyjną stworzył p. Zygmunt Szpingier. Nowa sztuka jest bezwątpienia dobrym nabytkiem poznańskiej sceny, która dzięki dobrym artystom i szczęśliwemu doborowi sztuk utrzymuje się na wysokim poziomie.

NOWE DZIEŁA K. ŻELECHOWSKIEGO



Znany artysta Kasper Żelechowski, bawiący obecnie na Śląsku, wzbogacił kolekcję swych pięknych portretów nowem dziełem, przedstawiającem piękną kobietę na tle krajobrazu.

PORTRET ZNANEGO PEDAGOGA

Znany i utalentowany portrecista p. Stanisław Żurawski sportretował ostatnio znanego w sferach pedagogicznych dyrektora Karola Haraszima.



Dzień wytwornej Pani.

Letni pobyt w miejscowości klimatycznej, letniskowej, czy na plażach Riwiery, to nietylko wypoczynek dla wytwornej pani, ale i sposobność zabłyśnięcia wszystkimi urokami i wdziękiem, jakim ją wyposażyła natura, a które podkreśla umiejętność należytego ich uwydatnienia przez właściwy strój.

Więc choć wybiera się piękna pani na letnie wywczasy przedewszystkiem ze względów zdrowotnych, nie wolno jej zapominać o tem, że spędzać będzie czas w środowisku ludzi oderwanych od pracy i wszelkich zajęć obowiązkowych, nastrojonych najpodatniej do krytycznej obserwacji swego otoczenia. W ogniu krzyżowych spojrzeń musi wytworna pani utrzymać się na poziomie zadań, jakie jej stawia pozycja towarzyska, uroda i własne przyzwyczajenia.

Wokoło same ciekawe spojrzenia.

Niechaj nie będą ukłuciami szyderczych szpilek, ale hołdem, składanym mimowoli dla tego estetycznego zjawiska, jakiem jest ubrana dobrze w każdej chwili i do chwili przystosowana w każdym ubiorze, wytworna kobieta.

Nawet przy rannym negliżu można być za-



Ostatni moment przed lustrem przy porannym maquillage'u. Saut-de-lit z koronki i organdi, wiązanej na kokardę pod szyją.



Wytworny kostjum do konnej jazdy. Czarne spodnie, marynarka z jasnej wełny, bluza z surowego jedwabiu i męski krawat.



Kostjum kąpielowy z wełny w naturalnym kolorze i doskonały parasol plażowy.

skoczonym przez przyjaciółkę, czy dobrą znajomą, która chce zyskać rekord wczesnego wstawania, a może... ciekawości, boć przecież wytworna bielizna to dziedzina bardzo interesująca wszystkie kobiety.

A potem idziemy do kąpieli, czy do pijalni wód mineralnych. Swoboda towarzyska pozwala o tej godzinie na strój zupełnie „comode", więc ubieramy pyjamę lub na kostjum kąpielowy zarzucamy shorty i bluzeczkę, czy też płaszcz. Największy krzyk mody to długi płaszcz z kapturkiem z przeźroczystej celoranowej materji, który osłania przed wiatrem a ukazuje w całym blasku uroczą właścicielkę w barwnym kostjumie kąpielowym „pareo".

Na plaży roi się od kostjumów. Który piękniejszy?

Zawsze ten, który jest najlepiej dobrany kolorem do opalonej skóry pięknej pani, która nie zapomina przytem o ważności maquillage'u, mającego specjalne tutaj wymagania dla konserwowania ciała w promieniach słońca i przed wiatrem, wiejącym od morza.

Rozmaite rodzaje sportu, uprawiane prócz pływania, to magazynowanie zdrowia na długie miesiące. Oddaje im się piękna pani na wywczasach z wielką przyjemnością. Tennis, jazda konna, golf, zabawy ruchowe na wolnem powietrzu, to wszystko działa odmładzająco, a wieczna młodość, to nasze najważniejsze hasło życiowe.

Popołudniu jakaś miła spokojna siesta, herbatka w gronie znajomych, trochę sportu, a to wszystko znów w coraz innym stroju. Bardzo dużo płóciennych materjałów, czyto w naturalnym kolorze, czy barwionych, używa się na sportowe sukienki. Czasami przerabia się je nitką kolorową i te dają nieskończone możliwości uzupełniania ich tym odcieniem przez kołnierzyki, szale, szarfy, kapelusze, bolerka lub pelerynki.

A gdy nadejdzie wieczór przeistacza się sportsmenka w zjawisko owiane urokiem, najbardziej kobiecej w linji sukni wieczorowej, dancingowej czy też przeznaczonej na garden-party. Pogodna noc letnia rzuca łagodne cienie na twarzyczkę a księżyc nadaje blask oczom, rozmarzonym i forsforyzującym po miłych wrażeniach dnia.

Eliette.



Komplet popołudniowy z georgetty granatowej w białe punkciki, złożony z sukni i półdługiego żakieciku o krótkich rękawach. Granatowe zamszowe pantofelki i kapelusz z cieniutkiego filcu.



Połyskliwe lamy srebrne, złote i kolorowe konkurują w sukniach wieczorowych z poświatą księżyca, przy blasku którego odbywają się dancingi.



Szlafroczek o poetycznej nazwie „Butterfly", wykonany z koronki w słomkowym kolorze, na spodzie z fularu w tym samym tonie. Pęk żółtych róż przy gorsie.

PRZEPISY
odnoszące się do naszego kalendarzyka — obliczone na 3—4 osoby.

JARSKIE KANAPKI sporządzać można z bułki opiekanej nad płomieniem, z chleba żytniego, pumperniklu, ze skórką lub bez niej. Pokrajane i opiekane pieczywo jest do kanapek najsmaczniejsze. Posmarowane masłem deserowem zmięszanem z musztardą lub tartym chrzanem, nakłada się płatkami przedtem ugotowanych w occie zamarynowanych buraczków, selerów, rzodkiewką, ogórkiem, pomidorami i t. p. układając kolorami, wkońcu posypuje się je siekanym szczypiorkiem, zieloną pietruszką. Można też jarzynki posiekać, wymieszać z majonezem i tą masą nakładać grzaneczki, ubierając je po wierzchu zielonym groszkiem lub kaparami i buraczkami. Jaja nadają się również do tego celu. Żółtkiem utartem z masłem i sardelką smaruje się jedną połowę grzanki, drugą pokrywa się siekanem białkiem z szczypiorkiem. Biały ser utarty z kwaśną śmietaną, tartą rzodkwią i szczypiorkiem oraz słodką papryką jest smaczny i zdrowy. Ładnie wyglądają też kanapki zgrabnie nałożone płatkami jaj, pomidorów i ogórków.

KOTLETY Z WŁOSKIEJ KAPUSTY. Ugotowaną i wyciśniętą z wody główkę kapusty kraje się na cienkie płaty, macza w cieście trochę gęściejszem niż naleśnikowe i smaży na mięszanym tłuszczu z obu stron na różowy kolor. Sos śmietanowy z koprem lub ziemniaczki jako dodatek.

MOSTEK CIELĘCY NADZIEWANY. 1—2 kilogramowy mostek zalać mlekiem z wodą i pozostawić w niej dwie godziny. Po wyjęciu obsuszyć serwetą, odjąć mleczko i przyrządzić w następujący sposób nadziankę: 10 dkg łoju cielęcego od nerki oraz odjęte od pieczeni mleczko zemleć wraz z namoczoną w mleku bułeczką, dodać soli i pieprzu, 1 całe jaje i 1 żółtko, pianę ubitą z 1 białka, wkońcu 2 łyżki tartej bułki. Masę doskonale wymieszaną nałożyć w zrobiony zwykle w pieczeni przez sprzedawcę otwór, zaszyć, sparzyć szybko wrzącą wodą, ułożyć na brytwannie, oblać masłem i piec przy częstem polewaniu około 2 godziny. Pod koniec posypać tartą bułką, oblać sosem z pod pieczeni i piec jeszcze przez pół godziny. Po upieczeniu wyłożyć na półmisek, lecz krajać dopiero aż trochę ostygnie.

KOTLETY Z MOSTKU CIELĘCEGO PANIEROWANE. Z pozostałego od obiadu mostku cielęcego można w łatwy i szybki sposób sporządzić zupełnie inne danie, a mianowicie: pieczeń pokrajaną w plastry panieruje się w jajku i bułeczce, osmaża szybko na maśle i podaje z ziemniaczkami i sałatą.

KREM KAWOWY. 2 dkg kawy zalać filiżanką wrzącej śmietanki i przecedzić. Osobno utrzeć 4 żółtka i 10 dkg cukrowej mączki, zalać gorącą kawą i zaciągnąć (nie gotować!) na ogniu, 6 listków najcieńszej żelatyny rozpuścić w dwóch łyżkach gorącej wody i przecedzić do kremu. Z 2 białek ubić pianę, dodać do kremu wraz z pół litrem bitej śmietanki. Krem wlać do formy wypłukanej zimną wodą i zastudzić na lodzie. Podaje się z waflami lub kruchemi ciasteczkami.

COQUILLES A LA REINE. Móżdżek cielęcy ugotowany w słonej, trochę octem zakwaszonej wodzie, obrać z błon, pokrajać drobno, wymięszać z paru łyżkami majonezu. Masę nałożoną na muszelki ubiera się białym i czerwonym auszpikiem, zieloną pietruszką, kawiorem i szyjkami raków. Ładna przystawka do przyjęć.

POZIOMKI JAKO SUROWA KONSERWA, wymagają wprawdzie trochę więcej zachodu, ale bardzo jest przyjemnie np. w zimie podać ją zmieszaną z bitą śmietaną; nie różni się niczem od świeżych poziomek. Kto sobie tę konserwę chce sporządzić, musi przez 8 dni z rzędu ucierać poziomki z cukrem w równej ilości, porcelanowym wałkiem, przez pełną godzinę. Odstawiać zawsze w chłodne miejsce. Masą napełnia się słoiki małe ćwierć litrowe, zawiązuje szczelnie i przechowuje w chłodnem, suchem miejscu.

„PTASZKI" Z JAJAMI. Potrawa ta czysto jarska nie ma z prawdziwymi ptaszkami nic wspólnego. Pozatem łatwo i szybko można ją przyrządzić. Pół filiżanki mleka rozkłucić z jajkiem, dodać soli i tyle mąki, aby się utworzyło ciasto trochę wolniejsze, niż na kluski kładzione. Doskonale ubite wykłada się na płytki talerz, nachyla się skośnie i za pomocą zwilżonego noża ucina się drobne kluseczki na wrzącą osoloną wodę. Gotuje się je pod przykryciem 5 minut, w tym czasie narosną i spłyną na wierzch wody, wtedy wylewa się je na durszlak, następnie daje na rozpalone masło, zalewa paru roztrzepanemi jajami i mięsza na ogniu aż się jaja zupełnie zetną.

Sc. Ko.



Nowości w gospodarstwie domowem.

Minęły już czasy, kiedy nóż i siekacz były jedyną pomocą przy przyrządzaniu mięsa i jarzyn do gotowania. Dziś coraz nowe maszynki znajdujemy na rynku w dziale gospodarstwa domowego. Precyzyjnie obmyślone i wykonane noże i wkłady, łatwe do zmiany, zależnie od potrzeby, ułatwiają pani domu żmudną dawniej siekaninę mięsa i szatkowanie jarzyn.

Na zdjęciu jeden z nowych modeli maszynki do mięsa a równocześnie i do jarzyn.

7 ✦ DNI ✦ DOBREJ ✦ GOSPODYNI.

Z dwóch głównych dań obiadu jedno może być w skromniejszych gospodarstwach opuszczone.

Święta rzym.-kat. i żyd.	Tydzień 31 — LIPIEC-SIERPIEŃ — Dni 31—31
Niedziela **28** Inocentego, Kun. 27 Tamuz	Zupa rakowa ze śmietaną. Wątróbki z ryżem. Kapłon lub pularda z ziemniaczkami i sałatą. Krem kawowy. Kolacja: Mięszane mięsa z sałatą jarzynową.
Poniedziałek **29** Marty, Flory 28 Tamuz	Zupa z świeżych grzybków z płatkami. Kotlety z włoskiej kapusty. Mostek cielęcy nadziewany z ziemniaczkami i sałatą. Kompot z wiśni. Kolacja: Kalafior, chleb z masłem.
Wtorek **30** Abdona i Senny 29 Tamuz	Zupa z jarzyn, przecierana, z grzankami. Młoda kapusta, gotowana z masłem i bułeczką. Kotlety z mostku cielęcego z mizerją. Wiśnie smażone w cieście. Kolacja: Pierożki z borówkami ze śmietaną.
Środa **31** Ignacego, Lojoli 1 Ab	Chłodnik z buraczków. Omlet z zielonym groszkiem. Wieprzowe kotlety z młodą kapustą duszoną. Ciastka kruche z poziomkami. Kolacja: Młode ziemniaczki z kwaśnem mlekiem.
Czwartek **1** Piotra w Okow. 2 Ab	Zupa z bułek /panadel/. Rizotto z podróbkami z kaczki. Kaczka pieczona z mizerją lub głąbikami. Drożdżowy placek z jagodami. Kolacja: Kaszka krakowska z grzybkami.
Piątek **2** NPM. Anielskiej 3 Ab	Krupnik na śmietanie z koperkiem. Makaron z pomidorowym sosem. Pstrągi lub białe ryby na niebiesko z masłem. Knedelki z parzonego ciasta z wiśniami. Kolacja: Śledziki z puszek, chleb, ser.
Sobota **3** Zn. św. Szczep. 4 Ab	Zupa pomidorowa z ryżem. Smażone móżdżki cielęce. Prędkie rozbratle z dopiekanemi ziemniaczkami i ogórkiem. Budyń ryżowy z sokiem porzeczkowym. Kolacja: Grzybki na śmietanie, chleb z masłem

HOCKI KLOCKI

ROZRYWKI UMYSŁOWE.

W niniejszym numerze przynosimy nowe rozrywki umysłowe dla naszych Czytelników, które tym razem uwagę ich zwrócą na załączone poniżej rysunki.

1. ROSNĄCE KWADRATY...

Na rysunku widzimy kwadrat magiczny, dający jako magiczną sumę 287 w każdym rzędzie, każdej kolumnie i każdej z dwu

	20	55	30	57	28	71	26	
	14	31	50	29	60	35	68	
	58	46	38	45	40	36	24	
	65	33	43	41	39	49	17	
	64	48	42	37	44	34	18	
	10	47	32	53	22	51	72	
	56	27	52	25	54	11	62	

przekątni. Jeśli odrzucimy zewnętrzny pas liczb, otrzymamy nowy kwadrat, dający w sumie 205. Jeśli odrzucimy jeszcze jeden pas, pozostanie kwadrat o sumie 123. Zadanie polega na wypełnieniu pustych pól kwadratu nieużytemi dotąd liczbami, od 1 do 81 włącznie, w ten sposób, by powstał nowy kwadrat magiczny, dający 369 w każdym z dwudziestu kierunków.

2. SYNOWIE OGRODNIKA.

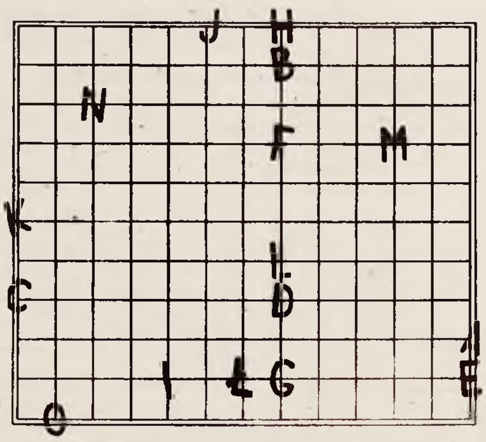
Pewien ogrodnik był właścicielem sadu, w którym stały dwadzieścia cztery drzewa,



rozmieszczone tak, jak to wskazuje rysunek. Ogrodnik darował sad swym ośmiu synom z poleceniem, by każdy syn dostał tę samą powierzchnię ziemi z tą samą ilością drzew. Jaki jest najprostszy sposób podzielenia sadu?

3. PLOTKI... PLOTKI...

Rysunek przedstawia schematyczny plan małego miasteczka, w którem osiem pań, posprzeczawszy się ze sobą, pośpieszyło na-



tychmiast z ploteczkami do swych ośmiu przyjaciółek ,jak to lubią robić panie w podobnych okolicznościach. I tak: pani A udała się do pani B, pani C do pani D itd. Jednakże ani pani A, ani pani C, ani panie E, G, I, K, Ł, i N zanic nie chciały się ze sobą spotkać. Jakie więc musiały obrać drogi (wzdłuż linij oznaczającycu ulice), aby uniknąć spotkania, czyli żeby się ich trasy nie przecięły?

Rozwiązanie łamigłówek z Nru 20 „Asa".

1. Rozgrywki ligowe.

Z tabeli widać odrazu, że Ruch wygrał z Wisłą i zremisował z Garbarnią. Ponieważ w tych dwóch grach zdobył dwie bramki i stracił 0, więc musiał wygrać 2:0 i zremisować 0:0. Teraz pozostają do odgadnięcia wyniki trzech meczów, Garbarni z Wisłą, Warty z Wisłą, i Warty z Garbarnią. Warta straciła jedną bramkę w grze z Wisłą lub Garbarnią. Wisła zdobyła tylko jedną bramkę — na Garbarni lub Warcie. Przypuśćmy, że na Warcie. W takim razie Garbarnia musiała wszystkie swoje trzy bramki zdobyć na Wiśle. Wisła ma ogółem sześć straconych bramek: z tego dwie w meczu z Ruchem, trzy z Garbarnią (ponieważ założyliśmy, że Wisła zdobyła jedną bramkę na Warcie), a pozostała bramka musiał być oddana Warcie. Lecz z tego wynika, że gra z Wartą była nierozstrzygnięta. Jak wiadomo gra ta była wygrana przez Wartę, więc Wisła swej jedynej bramki nie mogła zdobyć na Warcie. Wobec tego Warta straciła bramkę nie z Wisłą lecz z Garbarnią. Ponieważ Garbarnia zdobyła razem trzy bramki, więc pozostałe musiała uzyskać z Wisłą, która znów na Garbarni zdobyła swą jedyną bramkę. Ostatecznie widzimy, że Warta wygrała z Garbarnią 2:1, z Wisłą 2:0, zaś Garbarnia z Wisłą 2:1.

2. Zadanie kolejowe.

Problem można zupełnie łatwo rozwiązać bez pomocy algebry, a odległość między obu miastami jest zupełnie zbyteczna. Bez względu na to, gdzie się pociągi spotkają, wystarczy w obie strony odliczyć odległości przebywane przez nie w godzinę. Ponieważ jeden robi na godzinę 75 kilometrów a drugi 80, więc na godzinę przed spotkaniem oba pociągi będą o 155 kilometrów od siebie.

3. Darowizna obrazów.

Należy 2 przemnożyć przez siebie tyle razy, ile jest obrazów i odjąć 1. Dwa podniesione do dziesiątej potęgi = 1024, po odjęciu 1 otrzymujemy 1023, co jest rozwiązaniem zadania. Przypuśćmy, że były tylko trzy obrazy. Jeden obraz można wybrać trzema sposobami, dwa również trzema, na wybranie trzech mamy tylko jedną możliwość — razem 7 możliwości wyboru, co jest właśnie sześcianem dwu mniej 1.

4. Malowanie słupów.

Józef w sumie pomalował o osiem słupów więcej od Michała, bez względu na to, ile było wogóle latarń. Jeśli ich było np. po dwadzieścia z każdej strony, to Michał pomalował szesnaście, Józef dwadzieścia cztery.



NIE NALEŻY PRZESADZAĆ!



— Zapewniam pana, że nigdzie pan nie znajdzie podobnie silnego aparatu!

— Mało mnie to obchodzi! Tymczasem proszę oddać mi moje spodnie!

To warto poznać...

NOWE KSIĄŻKI.

Ukazały się niedawno **„Pamiętniki" Juljana Fałata.** Książka, którą czyta się jak powieść i którą naprawdę warto poznać, by przekonać się, ile trzeba samozaparcia się i pracy, by zdobyć takie szczyty twórczości artystycznej, jakie osiągnął jeden z najwybitniejszych twórców polskiego malarstwa. Juljan Fałat w „Pamiętnikach" swych mówi o tem szczerze, kreśląc barwne koleje życia. Przytoczone tu dwa epizody z książki Fałata, zachęcą niewątpliwie każdego do zapoznania się z temi „Pamiętnikami".



Juljan Fałat.

Maluje Fałat życie studentów w ubiegłem stuleciu, kształcących się w krakowskiej Szkole Sztuk Pięknych. Żyli w okropnej nędzy. Mieszkali w jakiejś „jamie" i dlatego siebie nazywali „jamnikami".

„Wprowadzając się do jamy — pisze Fałat — posiadaliśmy dzban na wodę i miskę do mycia, lecz z nastaniem mrozów, woda zamarzłszy rozsadziła dzban — i o myciu się nie było już mowy aż do odwilży. Rankiem zimno wypędzało nas z jamy do ciepłych sal szkoły lub do innych ogrzanych lokali: wieczorna chwila powrotu do jamy była nieraz straszna, szczególnie, gdy było wiadomem, że żadnemu z „jamników" nie udało się zdobyć paru szóstaków — noc wydawała się długą jak wieczność. Dopiero wiosna przyniosła nam ulgę".

A o jednym z mieszkańców jamy mówi Fałat:

„Cały majątek jego składał się z łóżka i gitary. Z łóżkiem nastąpiła jednak wkrótce katastrofa, gdyż pewnej nocy rozleciało się z wielkim trzaskiem. Pospieszyliśmy z pomocą i łóżko zostało narazie naprawione; gdy jednak podobny wypadek powtórzył się jeszcze raz i drugi, Jarzymowski uznał bezowocność reparacyj i zdecydował się spać na sienniku na ziemi, łóżko zaś złożył na ofiarę jamie, paląc jego kawałkami przez jakiś czas w żelaznym piecyku — nastały już bowiem mrozy".

To życie w jamie nie było bynajmniej odosobnionem.

Do historji sztuki polskiej i życia artystów należy jeszcze uformowana w rok później na ulicy Długiej t. zw. „Nora".

Pamiętniki Fałata urywają się na latach, gdy objął kierownictwo krakowskiej Szkoły Sztuk Pięknych. Gdyby było danem autorowi skończyć powieść swego życia, byłaby ona jeszcze cenniejszym dokumentem epoki.

(b)

Meksykański Niemiec — **Traven**, którego powieści spalone zostały na stosie w czasie wielkiego całopalenia hitlerowskiego, zjawił się przed polskim czytelnikiem z nową powieścią **„Bawełna i krew"**, (Pol. Tow. Przyj. Książki), oczywiście też na tle egzotycznem: pogranicza Meksyku i USA. Rzecz pisana z werwą, ale nie umywa się do najlepszych książek sympatycznego gawędziarza. Przekład nie zawsze zgadza się z duchem języka polskiego.

Interesującem wprowadzeniem w życie współczesnej Ameryki jest praca **B. Fay'a** p. n. **„Roosevelt i jego Ameryka"**. (Przekład I. Pannekowej, „Rój", 1935). — Przedstawia ona zasady polityki Roosevelta i plany przebudowy amerykańskiego gospodarstwa. — Książka godna poznania, tembardziej teraz, kiedy eksperyment Roosevelta znajduje się w położeniu nader krytycznem.

Oczywiście, ostatnie tygodnie nie mogły się obejść bez nowości sowieckiej. Prezentuje to piśmiennictwo tym razem kobieta: **Wiera Inber** swoim reportażem **„Ameryka w Paryżu"**. („Rój", 1935). Książka bystra, zawierająca szereg udanych nowel i szkiców oraz wrażenia z pobytu w Berlinie i Paryżu. Lektura bardzo pouczająca, a przytem szczerze miła. Wiera Inber umie patrzeć i malować. Jej nowele są zabarwione sentymentem, jej opisy Paryża mają wiele niespodzianek nawet dla tych, co znają Paryż wcale dobrze. Przekład reportażu dokonany na cztery ręce — gładki.

(g.)

NA SCENIE.

Najpierw długotrwałe ciemności. Z czarnej otchłani sceny padają na widownię surowe i majestatyczne słowa Sokratesa, będące przysięgą lekarzy. Wgórze sceny rozświetla się napis: „Szpital św. Jerzego". Za chwilę ostre blaski reflektorów rzucają światło na ludzi w bieli, sztab lekarzy i asystentów. — Oto jakiś mistyczny początek sztuki Sidney Kingslea p. t. **„Ludzie w bieli"**, granej obecnie w **Teatrze Polskim w Warszawie.**

Warszawscy recenzenci teatralni kłócą się zawzięcie o tę sztukę. Gdy jedni twierdzą, że jest świetna, że „przemawia do sumienia, pobudza do myślenia, drażni nerwy", że głęboko ujmuje problemy etyki lekarzy, sprawy: dlaczego człowiek nauki nie ma na chleb, dlaczego żona przeszkadza mężowi w pracy zawodowej, dlaczego oficjalna medycyna nie pomaga dziewczynie, która uczyniła „fałszywy krok", dlaczego posyła ją do pokątnych „rzeźników", — to drudzy twierdzą, że „Ludzie w bieli" to pospolita brednia, niepotrzebnie zaprawiona „mistycznym majonezem". Niemałą „sensacją" przedstawienia jest operacja na scenie, pacjentka na stole operacyjnym pod lancetami chirurgów. Jedni z dreszczykiem wzruszeń oglądają tę scenę, inni twierdzą, że to niepotrzebny, brutalny efekt, smutnie świadczący o inwencji artystycznej autora sztuki.

W każdym razie, choćby spowodu tych podzielonych, tak rozbieżnych zdań, sztuka warta poznania. Pracowicie wyreżyserował ją Warnecki, grając wraz z Barszczewską, Nakoneczną i Woskowskim główne role. **(swb)**

NA NAJLEPSZEJ FALI

Niedziela, 28 lipca.

11.00: Transmisja z Lipska. — W przerwie — Teatr Wyobraźni nadaje fragment słuchowiskowy „Miód kasztelański".

13.00: „Za morzami — u brzegów słonecznej Afryki".

14.00: Muzyka salonowa.

15.35: Muzyka z płyt.

16.00: Koncert mandolinistów „Hejnał".

16.45: Szkic literacki.

17.00: „Dla naszych letnisk i uzdrowisk". — Koncert.

19.50: „Życie angielskie — bez różowych okularów".

20.10: Koncert w wykonaniu Orkiestry Symfonicznej P. R. pod dyr. Józefa Ozimińskiego.

21.30: „Na wesołej lwowskiej fali".

Poniedziałek, 29 lipca.

12.15: „Dla naszych letnisk i uzdrowisk" — koncert.

15.30: „Letnie nastroje". — Koncert.

16.00: „W co się będziemy bawili?" — Audycja dla dzieci.

16.50: „Przerwana pieśń" — J. Ejsmonda.

21.00: Koncert polskiej muzyki symfonicznej.

22.10: Mała Orkiestra P. R.

Wtorek, 30 lipca.

12.15: Mała Orkiestra.

16.50: „Bałtyk z lotu ptaka" Kornela Makuszyńskiego.

17.00: „Dla naszych letnisk i uzdrowisk".

18.15: Wiedeńskie walce.

21.00: „Pajace" — opera Leoncavallo (z płyt).

Środa, 31 lipca.

12.15: „Dla naszych letnisk i uzdrowisk" — koncert.

13.05: Charpentier: Wrażenia z Włoch.

15.30: Mała Orkiestra P. R.

16.15: Koncert z udziałem Teodora Szałapina.

16.50: „Dziewczę z kabaretu" — humoreska.

18.00: Wesoły skecz.

19.30: Lekkie piosenki i duety.

19.50: „Świat się śmieje".

22.10: Mała orkiestra P. R. pod dyr. Zdzisława Górzyńskiego.

Czwartek, 1 sierpnia.

12.15: J. Brahms: Symfonja c-moll.

13.05: Mała Orkiestra P. R.

16.50: „Pani Nowakowa" — Heleny Boguszewskiej.

17.00: „Dla naszych letnich i uzdrowisk" — koncert.

18.45: Muzyka salonowa.

20.10: Koncert Orkiestry Reprezentacyjnej 36 p. p.

21.30: Teatr Wyobraźni nadaje słuchowisko p. t. „Fräulein Doktor".

Piątek, 2 sierpnia.

12.15: „Dla naszych letnisk i uzdrowisk" — koncert.

16.15: Koncert w wykonaniu Orkiestry Tadeusza Seredyńskiego ze Lwowa.

19.30: Recital skrzypcowy Miszy Poznańskiego.

20.10: „Nieznany zielony balonik" — wesoła audycja muzyczna.

21.00: Koncert symfoniczny.

22.10: Muzyka taneczna.

Sobota, 3 sierpnia.

13.05: Mała Orkiestra P. R.

14.30: Nowości z płyt.

15.30: Audycja dla dzieci p. t. „Czar Andersena".

16.25: Recital fortepianowy Stanisława Nawrockiego.

17.00: „Dla naszych letnisk i uzdrowisk".

21.30: „Dzień świąteczny na Południu" — Koncert symfoniczny.

22.30: Muzyka lekka i taneczna.

SPÓŁKA WYDAWNICZA KURJER S. A.